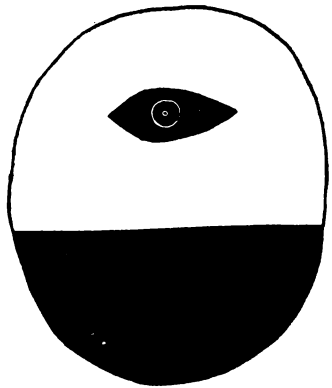

Tadeusz Kubiak

FANTASMAGORIE

FANTASMAGORIE

TADEUSZ KUBIAK

FANTaSMAgORIE

ALBUM POETYCKI

Czytelnik 1961

Bohdan Butenko pinxit

OSIEM WCIELEŃ - POEZJI JEDNEJ

Poezja jest to ptak domowy.
Ot — czasem kura, czasem kogut.
Bo czasem znosi złote jajka.
A czasem pieje Panu Bogu.

Gdy pieje — jako kogut pstry —
milczący Bóg owi-
nięty
chmurą.
Zaś ludzie mają ostre noże
i podrzynają gardła kurom...

Oj, dylu dylu,
oj, dylu du...
I podrzynają gardła kurom.

Poezja jest to koń i osioł.
I ludzie dziwią się, gdy patrzą.
Na koniu jedzie — hej — Don Kichot,
a zaś na ośle Sancho Pansa.

Don jest romantyk, spina konia,
skoro zobaczy lada wiatrak.
A Sancho Pansa z grzbietu osła
z największych kpi świętości świata.

Oj, radi radi,
oj, radi ra...
Z największych kpi świętości świata.

Poezja jest to pies i lew.
(Komu zazdrościć, kogo winić?)
Pies jest wśród ludzi na łańcuchu,
a lew jest królem... na pustyni.

Pies odszczekuje się przechodniom
od wschodu do zachodu słońca.
A w paszczę lwa bez lęku wkłada
głowę słaby jak kot — pogromca.

Oj, bugi bugi,
oj, bugi bu...
Głowę słaby jak kot — pogromca.

Poezja jest to sezon w piekle,
i raj na ziemi — póki ziemia.
Piekło jest piekłem Orfeuszów.
Raj rajem dla tych, co z kamienia.

Pięciu czy sześciu Orfeuszom
ogień wydziera cytry z dłoni.
A ci z kamienia — w blasku rajskim —
ci wykuwają z siebie pomnik.

Oj, łupu łupu,
oj, łupu łup...
Ci wykuwają z siebie pomnik.

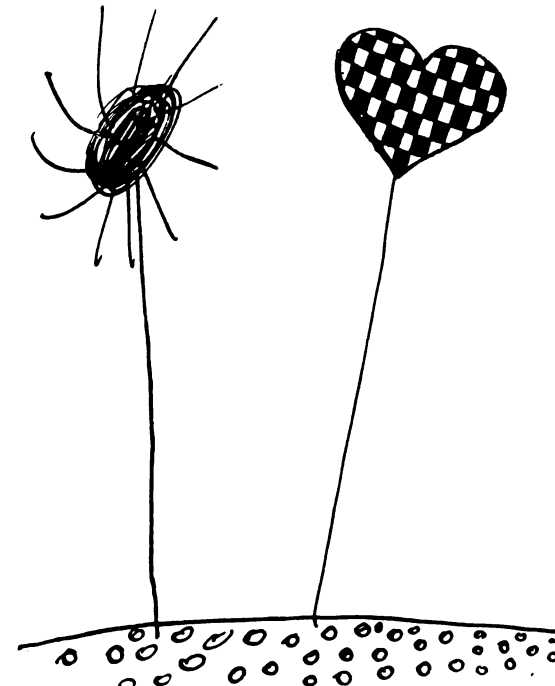

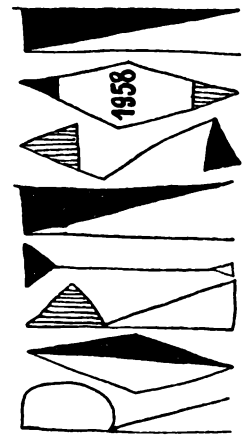

Nie lubię tego faceta z *vis à vis*,
co stoi w lustrze.
Ani się przed nim schować, ukryć,
przed towarzystwem się ustrzec.

Na obraz — i —
podobieństwo moje,
jak gdyby ze mnie skórę zdarli.
Stoi i patrzy, a ja się go boję,
jak żywi boją się umarłych.

Wyciągam rękę, sprawdzam — szkło. Zimne.
Mówiłem, że to ktoś z tamtej strony.
To dziwny facet. Po diabła — wciąż przy mnie?
Sadysta i łotr skończony.

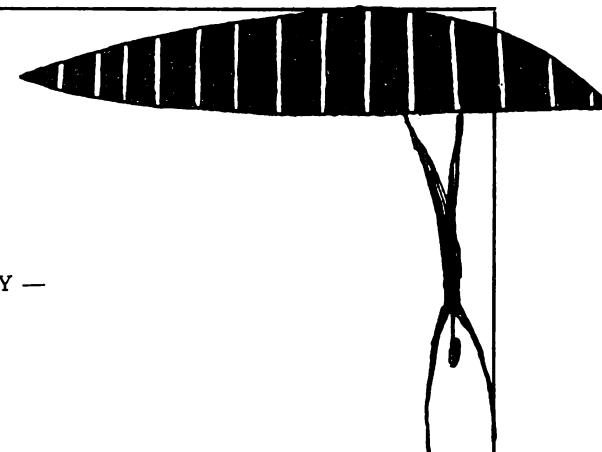

Naśladuje mnie we wszystkim ten XY —
Jak małpa. I nie ma nic z siebie.
Jak ja —
chodzi po ziemi na jednym skrzydle,
na jednej nodze fruwa po niebie.

Kim jest ten facet w lustrze — Romeo?
— Julio, gdzie jesteś — woła — mój skarbie?
— Nie ma mnie — odpowiada kąt pierwszy.

Kim jest ten facet w lustrze — hm — Tristan?
— Gdzieżeś, Izoldo — woła — mój ptaku?
— Nie ma mnie — odpowiada kąt drugi.

Kim jest ten facet w lustrze — Cezar?
— Kleopatro, gdzie jesteś — woła — mój laurze?
— Nie ma mnie — odpowiada kąt trzeci.

A może to jest Napoleon? — Walewska,
do stu par kartaczy, gdzie jesteś? — woła.
— Nie ma mnie — odpowiada kąt czwarty.

A może to jest Rozenkranc? — Różo,
woła — ach, Różo, z mojego ogródka.
— Nie ma mnie — odpowiada podłoga i sufit.

To biedny facet — ten facet w lustrze.
Żal mi go. Sam — i nie wiadomo po co?
Ja uciekam przed nim, on biegnie za mną.
Błąkamy się jak dwie gasnące iskry nocą.

Ale gdy mija żal — ogarnia mnie wściekłość.
Och, gdybym go tak dostał w ręce...
nie darowałbym mu.
Ostrym, śliskim, jak damska szpilka
cienkim —
sztylecikiem w serce.
Szpetota z piekła rodem — tfu...

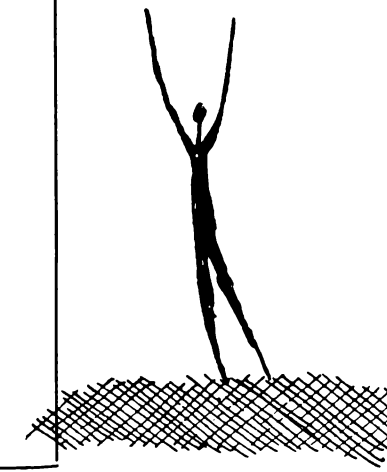

Rodacy, pomóżcie.
Protazy, Gerwazy,
was błagam. Gdzie uciec?

Myślałem sto razy.
Sztylecik — to zbrodnia.
A rzecz to niegodna
mnie.

I źle. I źle. I źle.

Ech, wiem już, co zrobię —
oj, radi radi.
Wiem, co mnie uleczy —
oj, radi radi...

Uleczyć mnie może
Piętaszek i koza.
I wyspa bezludna —
za siedmioma rzekami,
za siedmioma górami,
za siedmioma lasami —
na nie

ISTNIEJĄCYCH MORZACH

SKRZYDŁA MIŁOŚCI

Kiedy mi rosną skrzydła,
skrzydła u ramion,
skrzydła w górę —
ty jesteś przy mnie jak ziemia u stóp.

To nie są skrzydła dobre,
skrzydła alkoholowe,
to nie są skrzydła w górę —
to są skrzydła w grób.

Gdy mi nie spada z serca,
kamień do ziemi,
kamień w dół —
ty jesteś przy mnie jak ptak u ramion.

To są zawodne skrzydła,
skrzydła nadziei,
i skrzydła wiary,
co jak miecze ranią.

Ale przyczepiam co dzień
skrzydła twych rąk,
skrzydła miłości,
które ogarnia pożar.

Skrzydła miłości — to skrzydła Dedala,
na których Ikar
runął do morza.

MOIMI OCZAMI

Siedziała w knajpie „Wenus na ziemi"
ponad kieliszkiem pełnym — łez.
Przyszedł i oparł na jej kolanach
kudłatą mordę bezdomny pies.

Pies miał — to śmieszne i bardzo dziwne —
ślepia tak bardzo po ludzku piwne.
Jak ja.

Głaskała łeb ciemny, kudłaty,
tulący się do ciepła jej kolan,
łeb bezimienny, mokry od deszczu,
zimny od wiatru z ciemnego pola.

Pies miał — to śmieszne i bardzo dziwne —
ślepia tak bardzo po ludzku piwne.
Jak...

Licho wie — czyj, licho wie — skąd.
To pies czy bies na czterech nogach?
Łagodny u jej stóp jak baranek,
owca zbłąkana na ciemnych drogach.

A miał — to śmieszne i bardzo dziwne —
ślepia prawdziwie po ludzku piwne.
Jak ja.

Gdy odsuwała go od swych kolan,
świecąc okrutnym i zimnym szkłem,
patrzył w jej oczy z lękiem i smutkiem,
jak gdyby nigdy pies nie był psem.

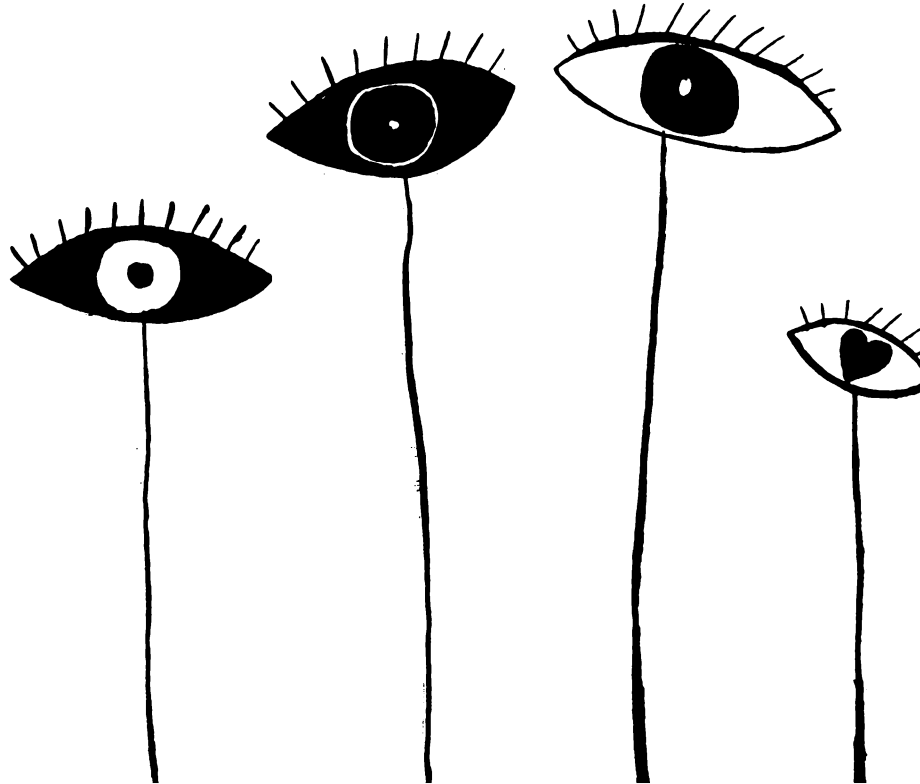

Jak Boga kocham — śmieszne i dziwne —
skąd u psa ślepia po ludzku piwne.

Gdy znów głaskała kosmaty łeb,
mrużył z rozkoszy okrągłe ślepia.
I w piersi psiej grało psie serce,
jak pogrzebany w kudłach fortepian.

Słyszysz — to śmieszne i bardzo dziwne —
serce i ślepia po ludzku piwne.
Po ludzku piwne.

Siedziałem obok. Milczałem patrząc.
Kieliszek szklił się pomiędzy nami.
Być może ona nie widziała tego,
że pies patrzył na nią moimi oczami.

Patrzył i patrzył. To bardzo dziwne.
Ale nie śmieszne — psie ślepia piwne.
Te oczy piwne.

Po ludzku

LUBIĘ PSIAKREW

Lubię, psiakrew, rosyjską muzykę,
bo szalona jest i szeroka,
bo porywa mi ziemię spod stóp
i pochłania sobą jak morze.

Lubię także, bizantyjski boże,
pewien fresk w sofijskiej cerkwi,
w którym tyle jest złota, srebra
i purpury — jak na wschodnich szalach.

Lubię jeszcze — o Allach, o Allach —
w Sarandzie minaret, gdzie pod niebem,
jak pod ogniem piekieł, lamentował
muezin wypalony na kość.

Lubię, wasza książęca mość,
w waszym mieście z wody — Dubrowniku
tuż za portem cienisty zaułek,
gdzie się nocą pije wino z ognia.

I co jeszcze — moja pogodna,
moja smukła, jak świt różowa —
w pewnym lesie brzozowym dwa pnie,
na których siedzieliśmy bez słowa.

(Bo słowik wszystko i tak wygadał.)

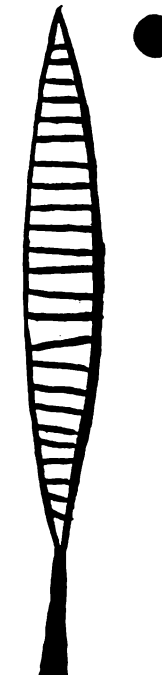

DWA LIRYKI NA SZEPT

PIERWSZY

Pod niebem zdartym jak wędrowny namiot
cyrku, którego już nikt nie odwiedza,
jakże ci, miła, dziś powiem to samo,
co bym ci parę lat temu powiedział?

Cyrkowych orkiestr archanielskie trąby
coraz nam bliższą wygrywają śmierć.
Puste trapezy i liny do tańca.
Boli okrutnie
tresura serc.

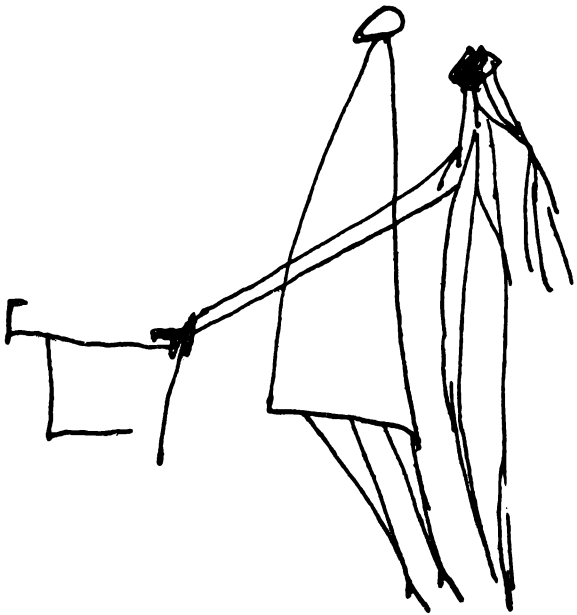

DRUGI - CZYLI MONOLOG POPRZEZ RÓŻĘ

— Każdy umiera, lecz nie każdy umie z miłowania umrzeć... — mówił Tristan do Izoldy poprzez jedną w dwóch grobach — różę.

ŚWIAT – OD DOŁU

Nie jestem wiele wyższy
od ulicznej śmietniczki.
Na jej blaszanym łbie,
nad którym gawron krakał,
wystukiwał ulicznik
patykiem Offenbacha.
(Fragment z „Pięknej Heleny".)

Gdy obejrzałem bliżej
śmietniczkę — zobaczyłem,
że ma nad podziw wprost
srebrne uchwyty. Wyżej
tuż nad nią świecił księżyc,
stojący do mnie tyłem.
(Stroną
nie znaną astronomom.)

A potem bokiem — ostrym
profilem jeźdźców srogich,
którym wiosenny wiatr
grzywy na łby zarzuca.
Dołem szły syjamskie siostry
i miały takie nogi,
że mucha nie kuca.

I dyskobol Fidiasza
też tędy wracał z meczu.
(Vivat Grecja! Kaput Roma!)
Nucił z cicha pod nosem —
„Pamiętasz, była jesień..."
I to był piękny wieczór
najcudowniejszej z wiosen.

Na brudnym wsparty wieku —
długo byś, bracie, myślał:
Śmietniczka? Średniowieczna
kanciasta baszta? Brama
Floriańska? Mysia Wieża?
Gdzie Gopło, a gdzie Wisła?
I jak dojść do Powiśla?

Księżyc śmietniczkę srebrzył,
czy trzeba, czy nie trzeba.
A nad nią gawron krakał.
A na jej ciemnych blachach
ulicznik — jednym palcem
grał walce Offenbacha.

Zaś w środku, w czarnym wnętrzu
spoczywał mój poemat,
którego nikt już nie ma.
Poemat brzmiał (początek):

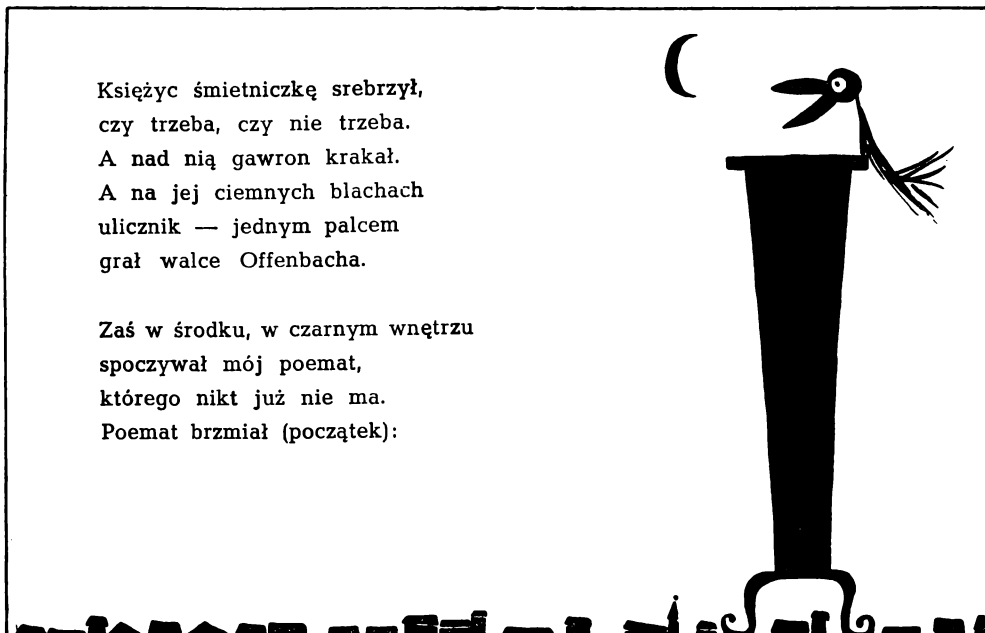

kiedy się robi czarno
na niebie i na ziemi,
nie chodź, Barbaro święta,
do strasznej Nikodemii,
bo tam cię w trzysta szóstym
umęczyli w zapusty.

Co było dalej — nie wiem.
Pisałem. Nie pamiętam.
Porwało wiersz złe licho.
Chciałem już odejść — ale
po drugiej stronie siedział
na ziemi mistrz Nikifor.

Siedział i płakał gorzko:
— W ostatnią niedzielę
wrzucili do śmietniczki
moje akwarele.
— Kto to uczynił, mistrzu?
— Ulic czyściciele.

Siedliśmy przeto razem
po dwóch śmietniczki stronach,
nad którą gawron krakał.
Tylko ten urwipołeć,
mając nas obu w nosie,
wystukiwał patykiem
walczyki Offenbacha.

PIOSENKA DLA MAŁGORZATY

To wszystko, na co mnie stać —
cztery ściany (poza sercem).
Nie miałem cynobrowych zamków
ani śnieżystych pałaców,
ani kluczy do miejskich bram —
Małgorzato w tęczowej sukience.

To wszystko, na co mnie stać —
fiołki (poza sercem).
Nie miałem kryształowych oranżerii
ni wiszących ogrodów Semiramis,
ni pergoli włoskich z różami —
Małgorzato w tęczowej sukience.

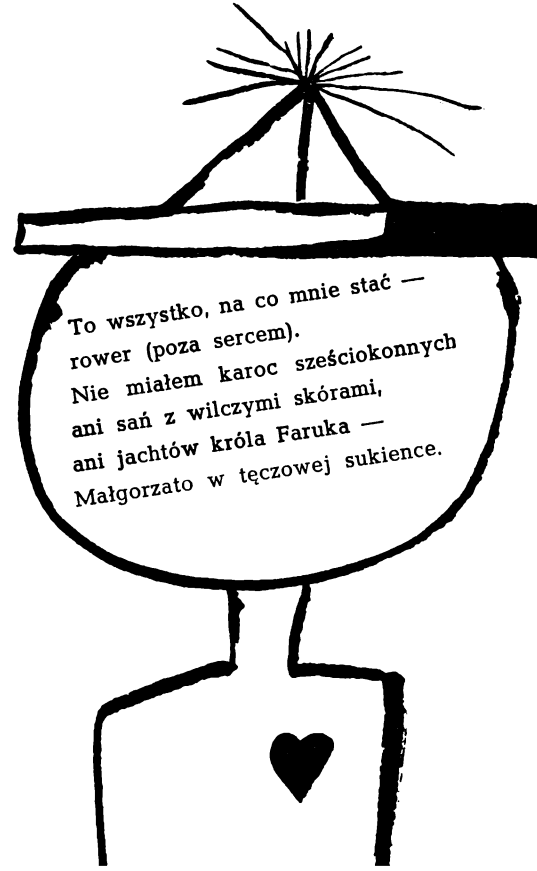
To wszystko, na co mnie stać —
rower (poza sercem).
Nie miałem karoc sześciokonnych
ani sań z wilczymi skórami,
ani jachtów króla Faruka —
Małgorzato w tęczowej sukience.

ŻYCIE - CZYLI TYSIĄCE SPRAW

W tej drodze do wieczności —

Dwa, cztery, dziesięć stopni...
Co dzień trzy razy dziesięć.
Na trzecim piętrze — zima,
wiosna, lato i jesień.

W tej drodze do wieczności —

Zapomniałem o maśle.
Chyba zostało z wczoraj?
Może byśmy gdzieś poszli?
Hm... skoro jesteś chora...

W tej drodze do wieczności —

Nie odchodź jeszcze. Proszę.
Zaraz kawy naparzę.
Dopiero ósma. Wcześnie.
Radio gra na gitarze.

W tej drodze do wieczności —

Jak długo można czekać.
Wiecznie szarpiesz mi nerwy.
Czy myślisz, że wygrałam
swe zdrowie na loterii?

W tej drodze do wieczności —

Czy znalazłeś ten guzik?
Toć to nie gwiazdka z nieba.
Zimno w rozwianym palcie.
Guzik przyszyć ci trzeba.

W tej drodze do wieczności —

O, bardzo lubię góry.
To nie ziemia — to księżyc.
Zazdroszczę ci, że jedziesz.
Ja — nie. Nie mam pieniędzy.

W tej drodze do wieczności —

Cóż, kto życia nie ceni,
nie wart go jest i kwita.
Jak żyję? Ano — jakoś.
Zresztą — lepiej nie pytaj.

W tej drodze do wieczności —

Dzień dobry. Kopę lat.
Gipsowy czy z kamienia?
Z kamienia będzie trwalszy.
Już płacę. Do widzenia.

I kują dłutem kamień.
A pod takim aniołem
zwaliłoby się niebo —
to najbardziej wesołe.

I światłość wiekuista
nawiedza brudną bramę.
Ziemia lekka sypie się
w dół jak piekło. W dół. Amen.

W tej drodze do wieczności —

Do licha — jak tak można
było zmarnować życie.
Raz matka rodzi. Drugi
raz — się nie urodzicie.

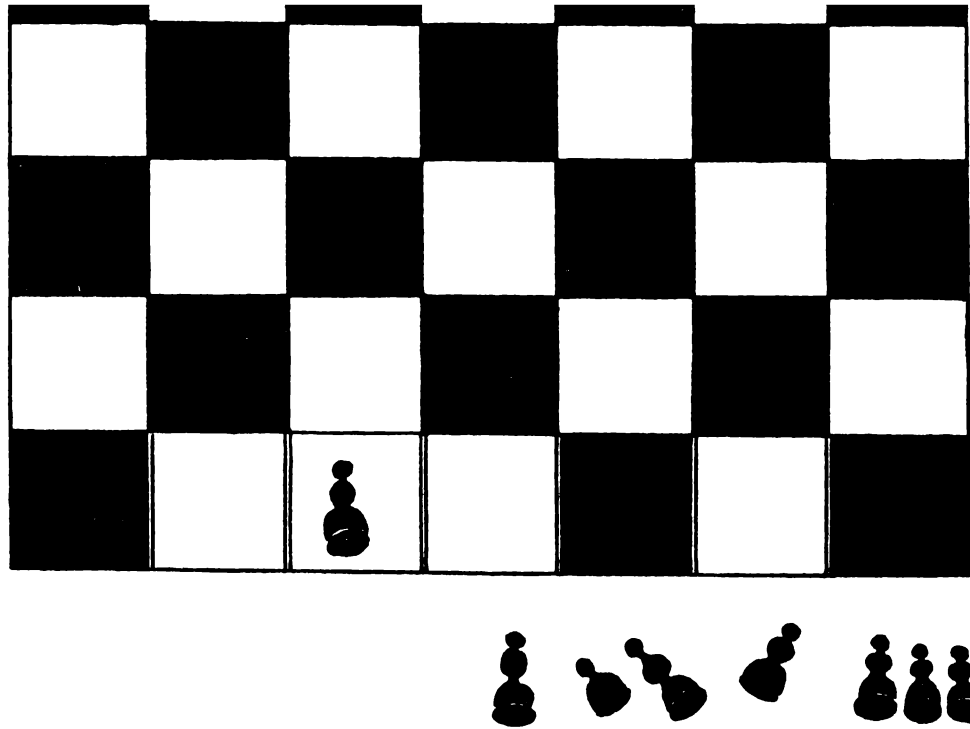

ROZMOWA Z MISTRZEM SARBIEWSKIM W PODZIEMIACH KOŚCIOŁA JEZUITÓW NA STARYM MIEŚCIE W WARSZAWIE

Na flecie gram. I schodzę w dół.
Ze stopnia na stopień — w dół.

Z powierzchni ziemi do piekieł,
wybrukowanych gotykiem.

„Hola — Tadeusz,
nie bądź taki znowu Orfeusz —
woła za mną Sarbiewski mistrz. —
I gdzie masz tę swoją, do ciężkiej Anielki —
Eurydykę?"

„Oto ona! Poświecę zapałką!
Najśliczniejsza, jaką nosi w tej chwili
na sobie święta ziemia,
mistrzu mój, Macieju z Sarbiewa."

„Owszem, owszem! Poświeć jeszcze zapałką!
Ale jaki ja tam — z Sarbiewa.
Diabli nadali — z kamienia!
I diabli zrządzili, że w podziemiach!
Pst... jezuickich podziemiach...
No — już. Nie całować się.
Bo mnie krew zalewa!
Jakem Maciej Sarbiewski —
bądź co bądź z Sarbiewa".

„Mistrzu Sarbiewski — my też
co nieco z waszych stron.
Tak od piasków i lasków. I brzóz.
Od zagrody, sznurka i szabli.

A że w podziemiach waszych z dołu w górę
na schodach
zaświeciło słoneczko kobiecych ust —
to to sprawili — ani chybi —
jakoście rzekli — diabli!
A poza tym
myślałem, żeście martwi i z kamienia są".

„Owszem, owszem — z kamienia są!
Ale poetą także są!
I ze zmysłów pięciu — cztery we mnie są,
bo mi do popiersia fuszer nie wykuł
dwóch rąk — czyli zmysłu piątego — dotyku.
Ale uszy — do słyszenia — są.
Oczy — do patrzenia — są.

Nos — jak to nos — i do tabakiery.
A i język — do gadania — też.
No — już! Nie całować się,
bo mnie krew zalewa,
jakem Maciej Sarbiewski — z kamienia,
ale bądź co bądź z Sarbiewa".

„*Mea culpa,* Macieju mistrzu, *mea culpa.*
Ale kocham tę moją — do ciężkiej Anielki —
Eurydykę"...

„Kochasz ją — to nie tutaj!
O — tam, trochę dalej!
Pod tym oto biskupem — jego to nie poruszy,
bo on nie był poetą, ale spowiednikiem".

Na flecie gram. I schodzę w dół.
Ze stopnia na stopień — sam.

„Nie wołajcie już za mną, mistrzu Macieju,
po podziemiach kościoła Jezuitów!
Nie wyprowadzę już stąd nikogo
najpiękniejszą muzyką strzelistego gotyku.
Eurydyka moja — złota i srebrna,
co na złość Jezuitom była ikoną,
poszła znudzona do domu.

Dobranoc, mistrzu Sarbiewski —
z piekieł wybrukowanych gotykiem".

Schodzę w dół.
Niby nie myślę o nikim.

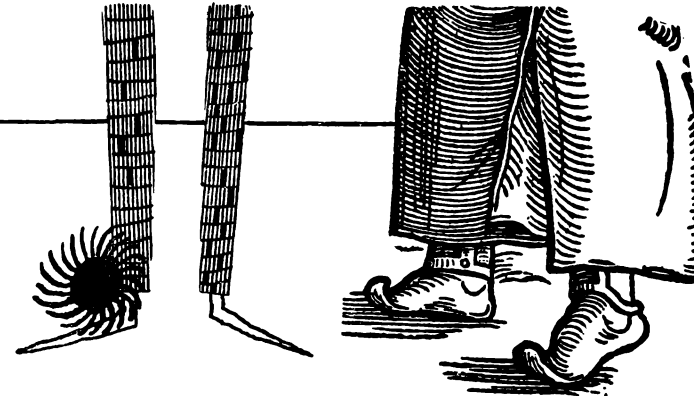

Ale gdzie ona jest — gdzie jest — i czy znów
przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni — i po co? —
gubi trzysta sześćdziesiąt pięć szpilek do włosów,
co świecą jak iskry nocą.

PADA DESZCZ

Pada deszcz.
Przystaję w bramie.
Zapalam papierosa.
Na trzecim piętrze
w kamienicy naprzeciw
jakaś kobieta otwiera balkon.
Stojąc w jaskrawym świetle
jest ptakiem czarnym.
Czy zacznie krążyć
po chmurnym niebie?
Dlaczego zawisła nade mną?
Zgasł mi papieros.
Ciemno.
Pada deszcz.

Pada deszcz.
Idę ulicą dalej.
Z sutereny, ze sklepu
z trumnami i wiązankami
wychyla się sprzedawca.
— A... a... Powitać...
— Tak, to ja. Klient — *in spe*...
Dobry wieczór panu.
Ale jeszcze nie teraz.
Przepraszam za ten zawód.
Gdy przestanie padać.
Gdy podeschnie ziemia.
Dobranoc panu.
— Dobranoc.
Pada deszcz.

Pada deszcz.
Jedzie autobus.
Za pół godziny mógłbym być w domu.
Ale gdybym mógł być z tobą.
W domu jest pusto,
a tu przynajmniej pies biegnie ulicą.
I koń człapie w kałużach.
Choć bardzo przemókł.
Och, na pewno lepiej iść przez deszcz
niż w domu być samemu.
Pada deszcz.

LIRYK DO SZEPTANIA

Patrz — jak rozlały smutki.
Ja w ręku niosę
łódki —
bez żagli i bez wioseł.

Bo gdy się bardzo boję,
biorę do ręki
twoje
czerwone pantofelki.

Jak dwie czerwone łódki
w ręku je trzymam.
Smutki —
ho — to rzeka olbrzymia.

A twoje pantofelki —
łódki bez wioseł.
Wielki
potop grzmi czarnym głosem.

Wezbrał i runął z progu
ku drzwiom i oknom.
Kogut
opiewał noc samotną.

Bo znów jest świt. Znów smutki.
I ja znów niosę
łódki —
pantofelki bez wioseł.

Dokąd ja z nimi idę?
Do szewca, który
bidę
klepie — i łata dziury.

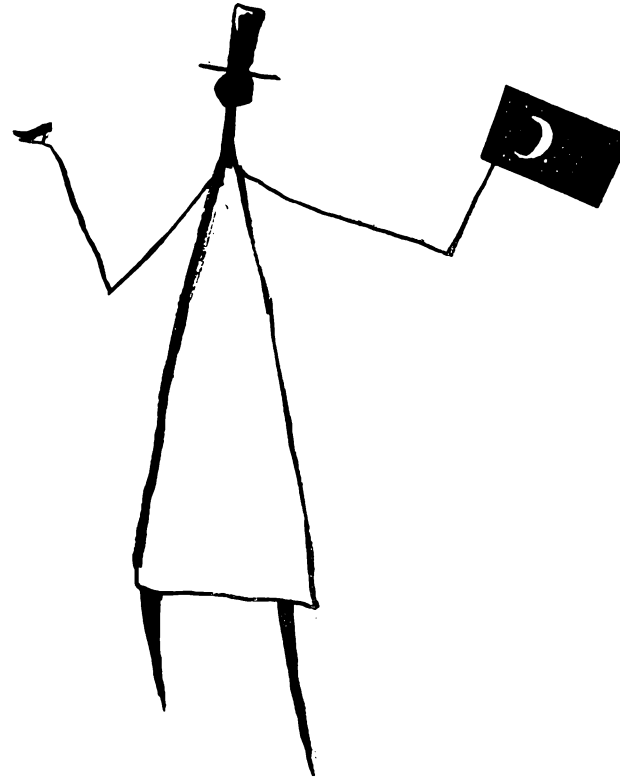

NA SPACERZE

Moje szczęście idzie ulicą
po prawej stronie.
Milczy.
Po lewej stronie jest pustka.
Nad pustką księżyc.
Przed nami — co to?
Świat szczerzy pysk wilczy.
Coraz bliższy. Coraz ogromniejszy.

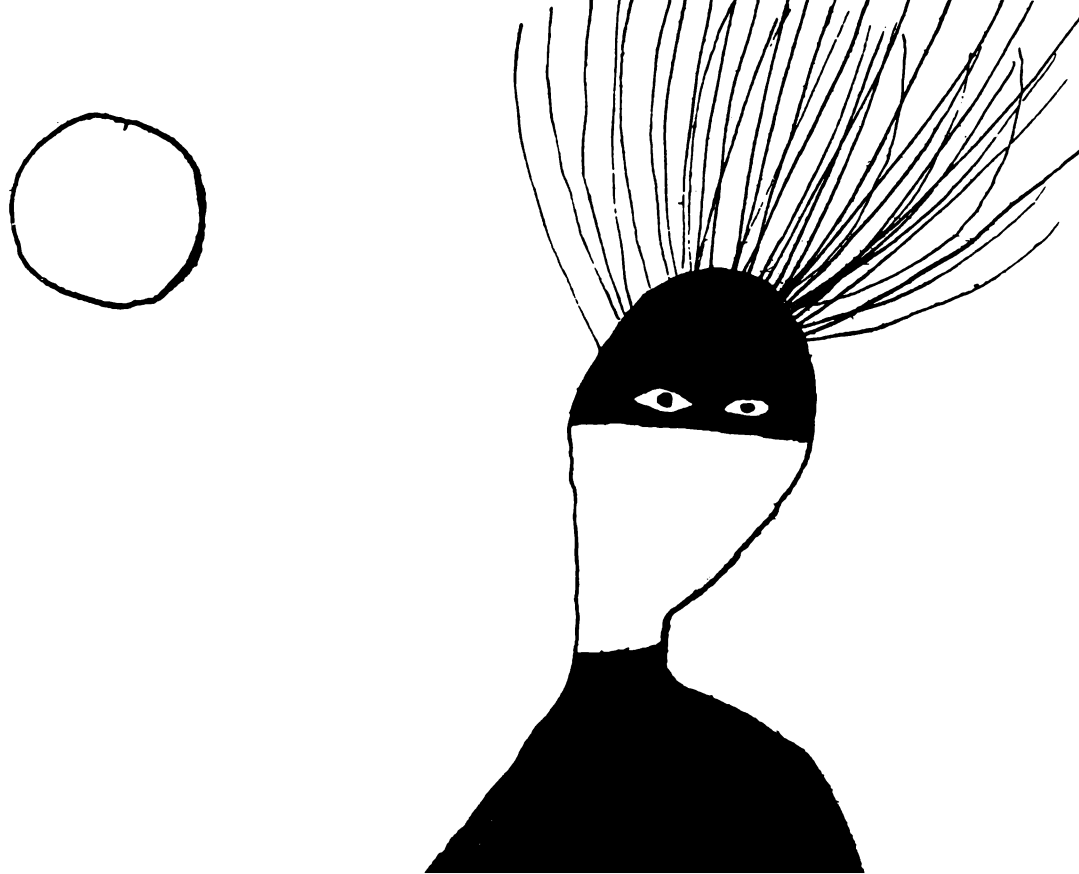

W WARSZAWIE NA TAMCE KUPOWAŁEM KWIATY

W imię Ojca i Syna —
już...
Biały dzień się zaczyna —
znów...

Biały, biały od śniegu
i od słońca na śniegu,
i od wina białego,
wina, wina i wina
do białego ranka —
voilà —
znów...

W imię Ojca i Syna,
za furtą, jak duch,
mniszka w białym kornecie
zamieniona w słuch.

Kling — klank...
Przed moim wejściem — dzwonek,
na moje wejście — dzwonek,
po moim wejściu — dzwonek.

— Ja tu w sprawie fiołków...
(Uśmiech w kierunku mniszki.)

— Niech będzie pochwalony —
„dzień dobry" nie dla wszystkich.

— Na wieki wieków fiołkom.
I miłości na — amen.
Fiołkom, fiołkom alpejskim,
alpejskim z perskim okiem
do oka opatrzności
zaspanego nad ranem.

Kling — klank...
Przed moim wyjściem — dzwonek,
na moje wyjście — dzwonek,
po moim wyjściu — dzwonek.

Na ulicy jak złodziej
liczę fiołki — kupione
i te dwa ukradzione.

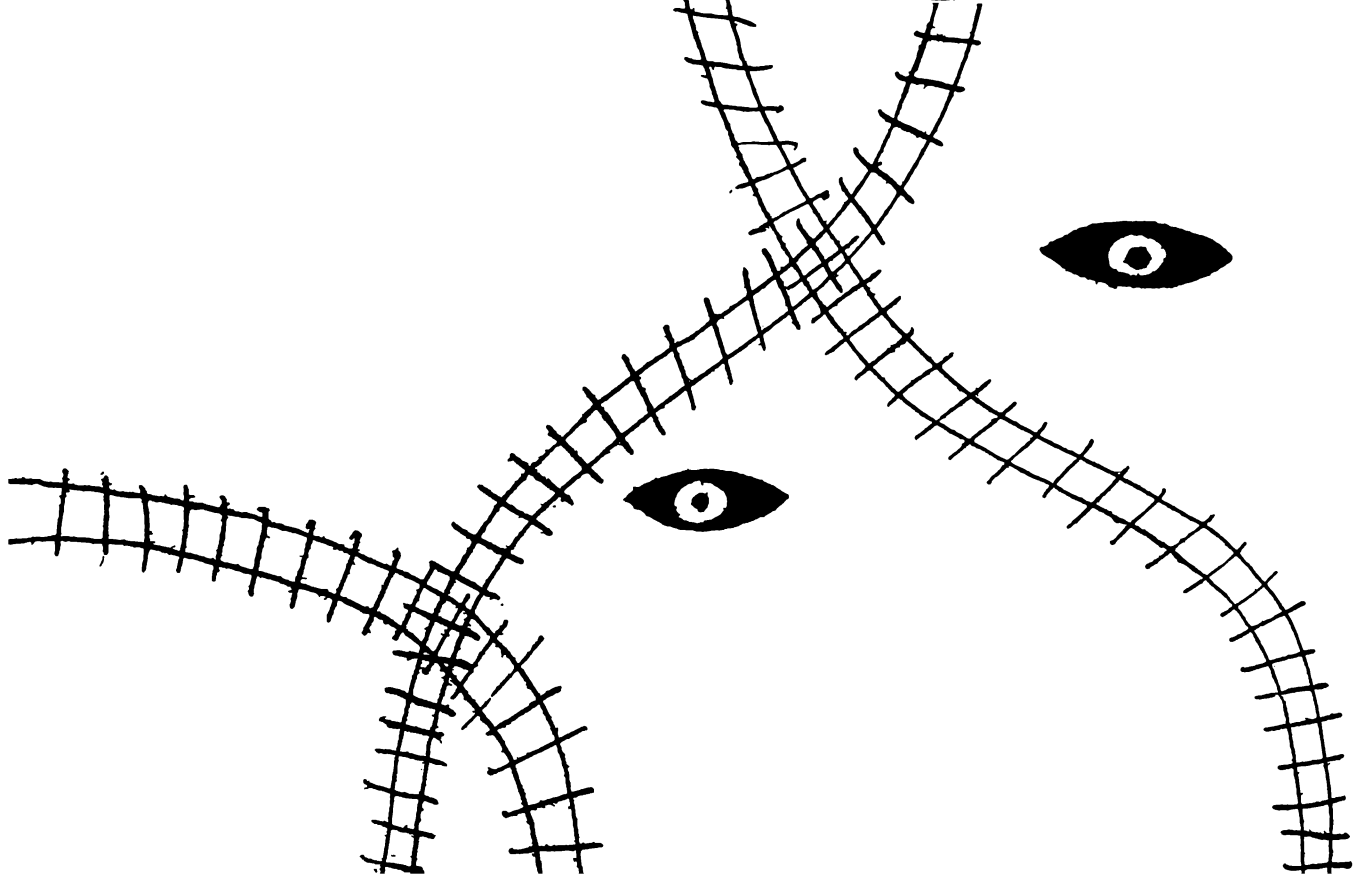

Na poniedziałek — fiołek.
Na wtorek — drugi fiołek.
Na środę — trzeci fiołek.
Na czwartek — czwarty fiołek.
Na piątek i sobotę —
piąty i szósty skradłem.
Alpejskie z perskim okiem,
by cieszyły Barbarę.

Siódmego fiołka nie ma.
W niedzielę już wyjeżdża.
Dokąd jedziesz, Barbaro?

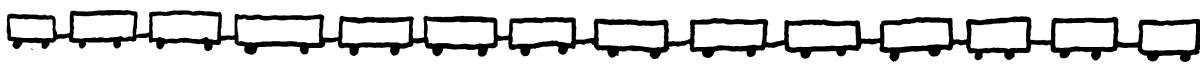

Nie w Alpy. Nie do Persji. Dużo dalej dla ciebie. Do siebie — nad Narew.

a LIPIEC GRAŁ...

A lipiec grał. Gitara w ciszy.
A lipiec grał. Gitara w brzęku.
Gitara z prawej ku lewej piersi.
Jak łódź Odysa — gitara w ręku.

W koszach zielonych miejskiego parku
dozorca ptaszki trzyma na wynos.
Karmi je słońcem, wiatrem i deszczem,
bo zbrakło kwiatów białym jaśminom.

A w kącie obok piekła kręgielni,
gdzie kula huczy po desce śliskiej,
na hodowane przez starca ptaszki
kot czyha chciwie z otwartym pyskiem.

A lipiec grał
na deszczu srebrnych trąbkach.
I po wełnistych lasach — jak mokry faun się błąkał.
I nic — i tylko grał.

Przyjechał kapral na dziesięć godzin.
Rankiem wyczyścił mundur i buty.
W południe jeździł na karuzeli.
Wieczorem chodził — jak zielem struty.

Gitara w drodze. Gitara w domu.
Gitara w parku, gdy coraz ciemniej.
Gitara dla mnie. Gitara przy mnie.
Gitara dla niej, przy niej, beze mnie.

Jechał znów kapral twardym pociągiem.
Światło księżyca kaprala bodło.
Aż się zamienił jadący kapral
w zielony obłok, w błękitny obłok.

A lipiec grał
na deszczu srebrnych trąbkach.
I po wełnistych latach — jak mokry faun się błąkał.
I nic — i tylko grał.

Zelował buty zalany szewc,
aniołom słodkim i rodem z piekła.
A miał młoteczek zjadliwy, że
Hera by przed tym młotkiem uciekła.

Szył pantofelki pod bose stopy,
moczone w czarnym, diabelskim kotle.
Szył pantofelki, a szydłem robił
wciąż dziury w całym pod te pantofle.

O czterech strunach z dołu do góry.
Gitara w ciszy. Gitara w brzęku.
Gitara z prawej ku lewej piersi,
jak łódź Odysa — gitara w ręku.

A lipiec grał
na deszczu srebrnych trąbkach,
I po wełnistych lasach się błąkał
jak mokry faun — i grał.

NIE SZTUKA KOCHAĆ - - KOGO?

Minął czas gestów heroicznych — ho, ho —
mężczyzn dzwoniących jak stal damasceńska,
jak czynele w orkiestrze,
jak nóż o talerz, pokrywa o garnek,
brzdęk!

Blondyneczko z księżyca, gdy się budzą słowiki,
słowiki, słowiki — nie z tej ziemi, Panno
z warkoczem Bereniki,
rozplecionym, gwiaździstym, puszystym, puszczonym
w koński ogon blond —
słuchaj!

Nie rzucaj rękawiczki z balkonu między lwy,
bo nikt po nią nie skoczy,
by okazać ci siłę miłości — silniejszą
niż szczęki drapieżców.

Zresztą nie sztuka kochać Orlanda Szalonego,
jak cholera szalonego,
w strzemionach i w łożu
szalonego, od stóp
do głów szalonego.
Sztuką jest kochać inkasenta w kratkę,
amanta w płaszczyku podszytym wiatrem,
człowieka na codzień podszytego strachem,
któremu ręka drży, gdy wypełnia rachunek
za trzydzieści moich nocy
gorejących setką świec.

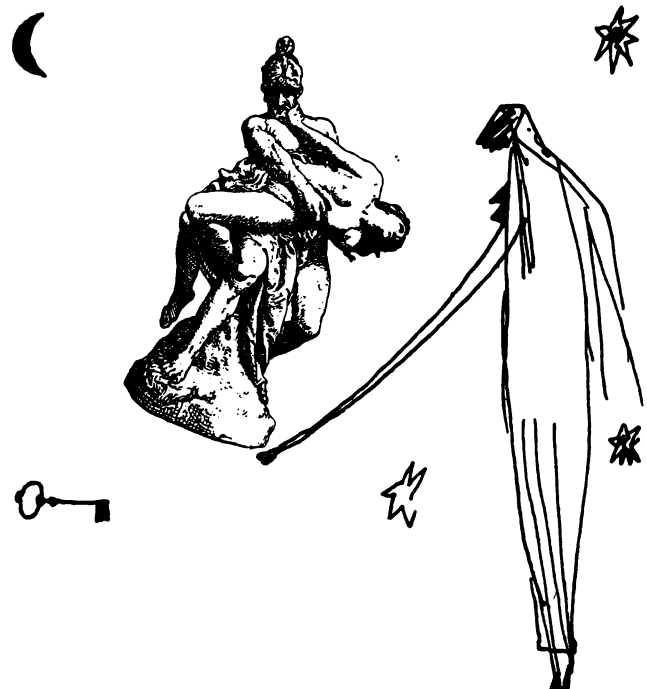

Co to za sztuka kochać Romea z Werony,
gdzie pod niebem gwiaździstej Werony — balkony.
Romea z Werony — który w sporze serc
umie z rywalem skrzyżować szpadę.
Sztuką jest kochać pracownika poczty,
który nie odróżnia szpady od widelca,
a myśląc — szpada,
widzi — widelec
Już na godzinę przed obiadem w domu.

Nie sztuka kochać toreadora,
toreadora pod słońcem Sewilli,
który byka do areny, gdy zechce, przyszpila
jak tęczowego motyla
do deski.

Sztuką jest kochać w szary dzień,
o, tego, co tam siedzi na ławce pod drzewem,
wstydzi się swego pyska i nie otwiera gęby,
bo jest głupszy od konia, który umie się śmiać.

Blondyneczko z księżyca o oczach Andromedy,
ustach Andromedy, z warkoczem Bereniki,
zaplecionym w gwiazdach —
bez miłości umiera twoje serce za życia,
ale nie rzucaj rękawiczki w noc,
rzuć jednemu z nich klucz —
kling klank — klucz o bruk,
sygnaturka z dna.

To już wszystko, blondyneczko z warkoczem Bereniki,
przy jego prawym boku zaśnij i obudź się,
cztery strony świata zamknij w czterech ścianach,
dopóki cię nie zamkną w czterech deskach z wiankiem,
kochajcie się, całujcie — aż do pierwszej łzy,
która z oczu ci spadnie jak różowa łuska.

A ziemia skurczona do rozmiarów łzy,

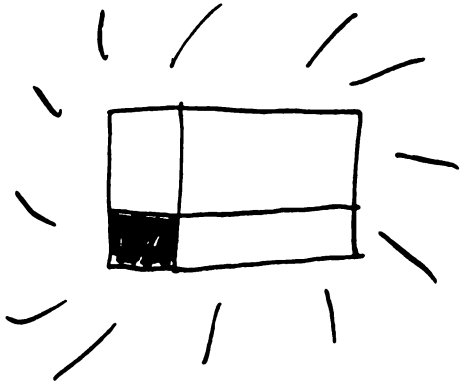

korzystając z tego, że jest kulą, potoczy się, potoczy — umknie ci spod stóp.

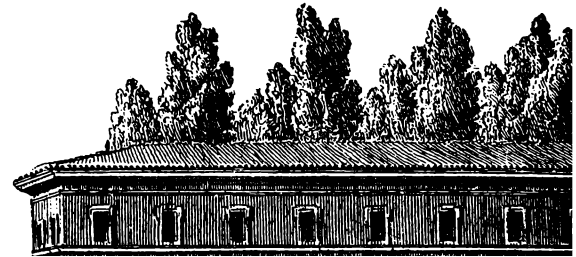

PAJAC

Wiszę na ścianie murowanej —
drewniany pajac — hop sa sa!
Kto wbił ten gwoździk młotkiem w ścianę,
kto mnie powiesił? — hop sa sa!

Mam taki kostium w dwa kolory —
biały i czarny — hop sa sa!
Na głowie czapka w śmieszne wzory,
jak perski dywan — hop sa sa!

Czasem przychodzi Miller Jurek *,
trąca mnie szkiełkiem — hop sa sa!
Czasem pociągnie mnie za sznurek
kobieca rączka — hop sa sa!

Wtedy podrzucam ręce, nogi,
wesoło pląsam — hop sa sa!
Taniec w powietrzu, bez podłogi —
to głupi taniec — hop sa sa...

A wy tańczycie i chodzicie
prosto, po ziemi — hop sa sa!
Diabli nadali takie życie —
za łeb na gwoździu — hop sa sa!

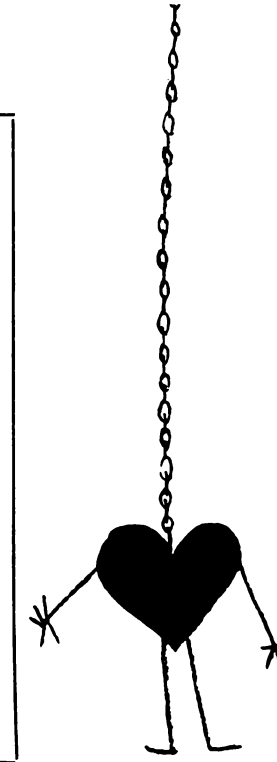

* Jerzy Miller — mój przyjaciel, poeta.

„PAMIĘTASZ, BYŁA" - U FRYZJERA

STANISŁAWOWI DYGATOWI

Na ścianie palma z papieru.
Pióropusz i pień.
Pień — brunatny.
Pióropusz — zielony.
A pod palmą
dzień w dzień —

„Pamiętasz, była jesień...
Pamiętasz, była jesień...
Pamiętasz, by
ła
je
sień..."

Psia-
krew.

A tu lato jak szalone.
I dzieciaki chrabąszcze
jak złoty deszcz
otrząsają
z drzew.

Na ścianie palma z papieru.
Pod palmą sabat czarownic.
Jedna ujeżdża pianino.
Druga dosiadła skrzypiec.

„Pamiętasz, była jesień...
Pamiętasz, była jesień...
Pamiętasz, by
ła
je
sień...”

A tu lipiec
jak złota
królewska karoca,
z przytuloną, kwiatowo-
tulipanową królową
gwiaździstymi kołami
kołuje po nocach.

Na ścianie palma z papieru.
Pod palmą wierzbowa rzewność.
„Więc... Co?...
Tak i nie...
Ech... no to...
cyk..."

„Pamiętasz, była jesień...
Pamiętasz, była jesień...
Pamiętasz. by
ła
je
sień..."

A tu lato
jak jurny
byk.

Nagle brzytwy przed okiem błysk.
„Pan do golenia czy do strzyżenia?"
„Ja, proszę pana, już do niczego".

„Pamiętasz, była jesień..."

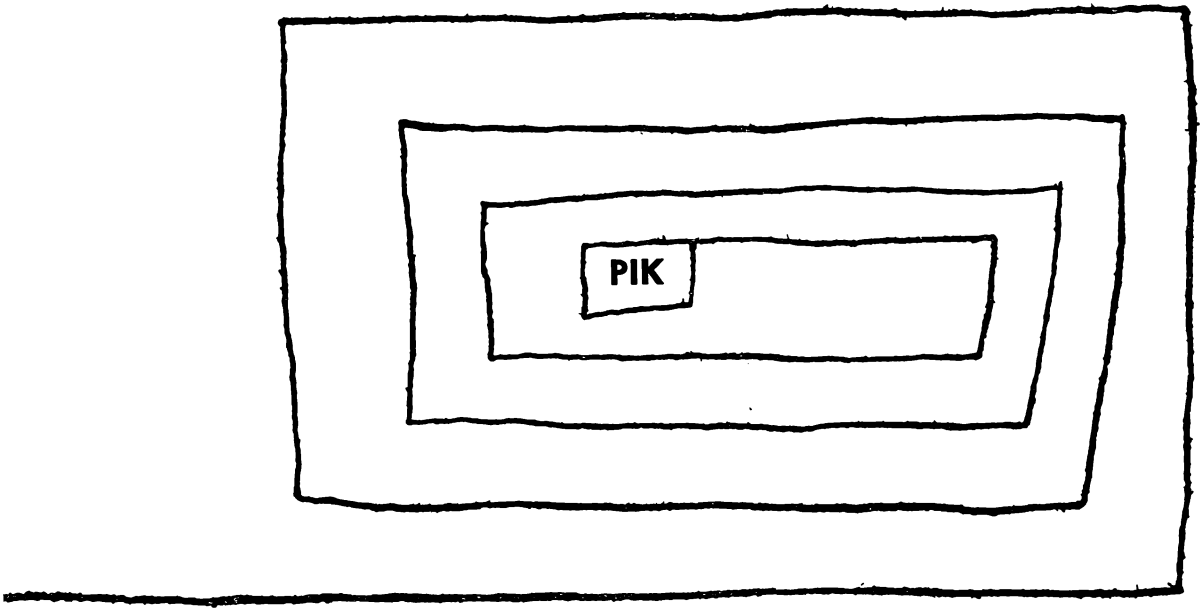
PIK

O jesieni tkliwie na widok pierwszego śniegu:

Jesień jak jeleń —
— o du de li du —
o rogach jelenich —
— o du de li du —
unosi zieleń
czarnej jesieni —
— o du de li
du de li
du — u —

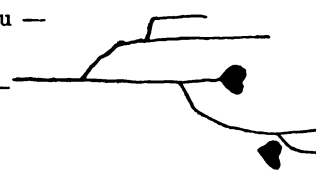

Co to za zieleń
czarnej jesieni?
— o du de li
du de li
du —
Gałązek niewiele
głogów, dereni...
I kilka jemioł
nad drzwi do sieni —
— o du de li
du de li
du —

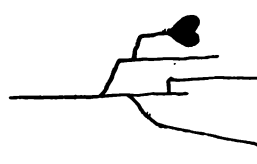

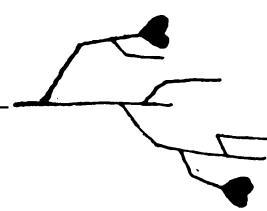

Jesień jak jesion
z tamtego świata —
— o du de li du —
Rozgrzesza z grzechów
i szaleństw lata,
litanią liści
gaśnie u latarń —
— o du de li du —
o piątej rano
gaśnie u latarń
i z dniem zimowym
swata nas — o —
— o du de li du —
swata nas, swata...
To jest mój czas —
— o du de li du —
świat w moim guście —
— o du de li du —
i słońce wschodzi —
— o du de li du —
smutne, bezludne
jak Kalwaria Zebrzydowska po odpuście —
— o du de li du —
du de li du —

Albo Berdyczów po odpuście.

SADZENIE ZIEMNIAKÓW

Co to jest życie?
Życie —
to jest sadzenie ziemniaków.
Za sadzenie ziemniaków otrzymuje się pieniądze.

Za pieniądze kupuje się chleb.
Chleb zjada się.
I żyje się.

Co to jest życie?
Życie —
to jest okopywanie ziemniaków.
Za okopywanie ziemniaków dostaje się pieniądze.
Za pieniądze kupuje się chleb.
Chleb zjada się.
I żyje się dalej, dalej.

Co to jest życie?
Życie —
to jest wykopywanie ziemniaków.
Za wykopywanie ziemniaków otrzymuje się pieniądze.
Za pieniądze kupuje się chleb.
Chleb zjada się.
I żyje się, dalej, dalej.

Co to jest życie?
Życie —
to jest dołowanie ziemniaków.
Za dołowanie ziemniaków otrzymuje się pieniądze.
Za pieniądze kupuje się chleb.
Chleb zjada się.
I żyje się dalej, dalej, dalej.

Aż kiedyś nie przychodzi się do sadzenia ziemniaków.
Nikt nie czeka na tego, który nie przyszedł.
Na jego miejsce zjawiają się inni.
I aby żyć —
znów się zaczyna
sadzenie ziemniaków.

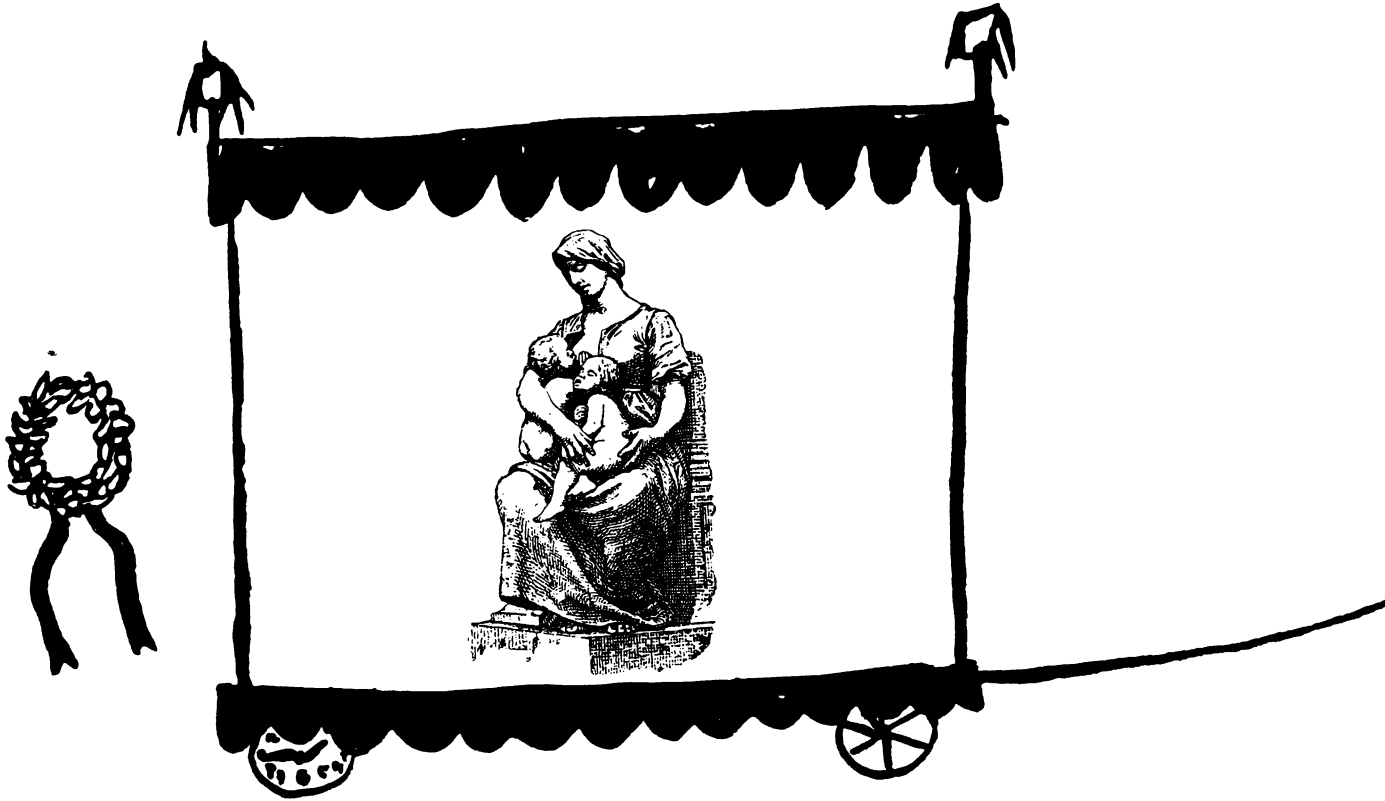

Palenie w piecu – czyli liryk żałosny

DROGIEMU WŁODZIMIERZOWI

Nie jest mu chyba dobrze ze światem,
skoro gada do pieca —

Oj, piecu, piecu
z piersią kobiecą,
kaflowo-białą...

Nie jest mu chyba przytulnie na świecie,
skoro się garnie do pieca —

Oj, piecu, piecu
z piersią kobiecą,
z cieplutkim biodrem
kaflowo-modrym...

Nie jest mu chyba ciepło na świecie,
skoro się tuli do pieca —

Oj, piecu, piecu
z piersią kobiecą,
z cieplutkim biodrem
kaflowo-modrym,
z gorącym brzuchem –
czy słyszysz mnie,
piecu –
kaflowym uchem?

Dmuchał w otwarte drzwiczki,
ruszta patykiem przegarnął,
chrobotał węglami w wiadrze
łapą szatańsko czarną.

Gdy ujrzał pierwszą iskrę,
rozczulił się nad iskrą.
Dał iskrze imię — Iskra.

I szeptał do niej — Iskro.
Tyś iskra mego ognia
I żaru, i popiołu.
Modlił się do niej — Iskro,
tyś najpiękniejsza z iskier.
Ach, Iskro. Iskro. Iskro.

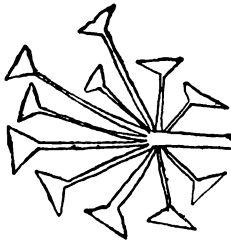

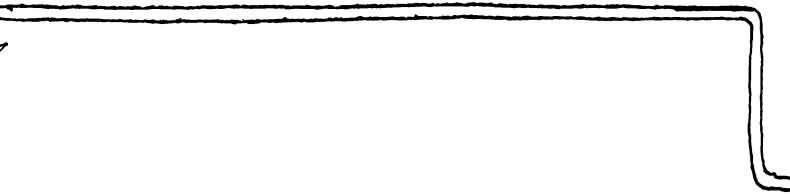

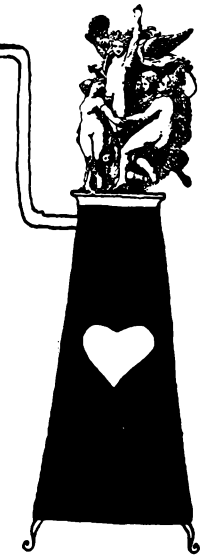

Aż wreszcie nastąpił dzień,
że ciepło minęło słodkie.
Wstąpiło w jeden piec,
w jedno domowe ognisko,
dziesięć diabelskich orkiestr,
i w sto płomiennych trąb
zaczęło dąć — aż strach.

PIOSENKA NA WIELE OKAZJI

Już przyszli z tęgim sznurem.
Już mieli mnie obwiesić.
Ale się sucha gałąź
zawieruszyła gdziesik.

Jakiś tutejszy Judasz
wziął ją z sobą w zaświaty.
Wszystkie inne gałęzie
miały liście i kwiaty.

Na takich, które kwitną
i które szumią liściem,
nie wiesza się wisielców,
gotując łotrom czyściec.

Ej, gałązko, gałązko,
ej, gałązeczko ziela.
Księżyc ciebie strzałami
ze światła poprzestrzelał

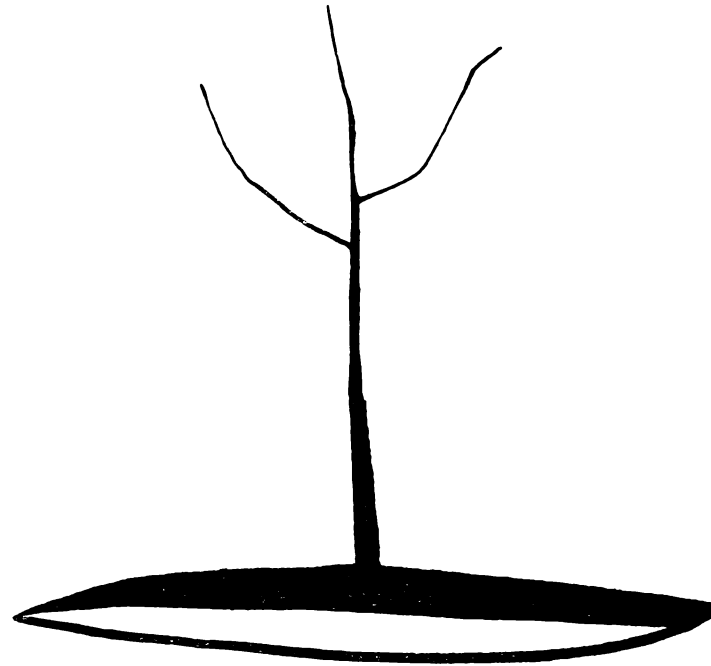

Już przyszli z chlebem, z winem.
Już siedli se pod drzewem.
Już mieli zacząć ucztę
z prakurdeszowym śpiewem.

I popatrzyli w górę.
Po ludzku zbaranieli.
Chleb im się ostał w gębie,
a w dłoni zamarł kielich.

Zasznurowali sakwy,
zgarnęli koc i obrus.
Dyndał się na gałęzi
związany w pętlę powróz.

Ej, gałązko, gałązko,
ej, gałązeczko ziela.
Nie znajdziecie w jej cieniu
spokoju i wesela.

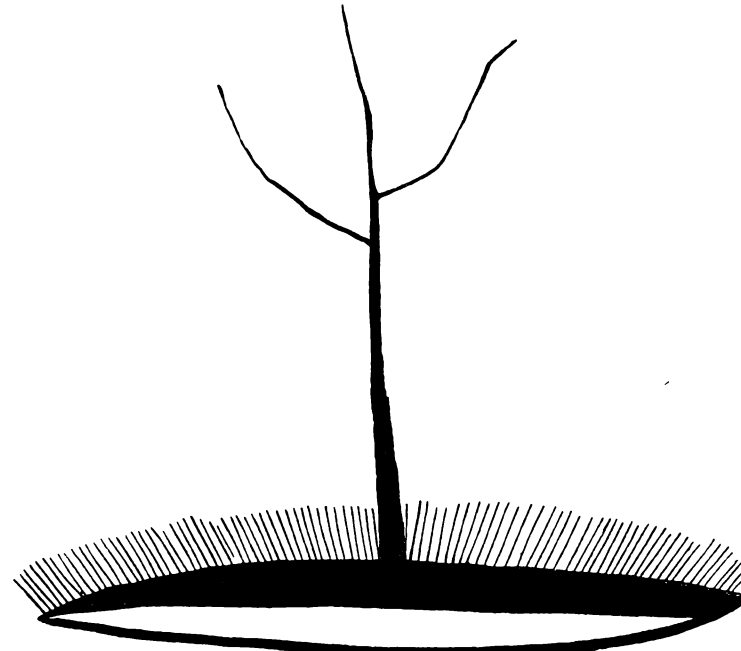

Już przyszli — sami z sobą.
Bez wina i bez chleba.
Zsunęły się na trawę
dwa ciała w cieniu drzewa.

Nie chcieli śpiewać, mówić.
Pomilczeć chcieli z sobą.
Całować się pragnęli,
nareszcie z sobą obok.

Nim się spotkały usta,
oczy zamarły. Ej-że —
a kto to wisi na tej
gałęzi najpiękniejszej?

Ej, gałązko, gałązko,
ej, gałązeczko ziela.
Dzwoniły srebrne dzwony,
bo to była niedziela.

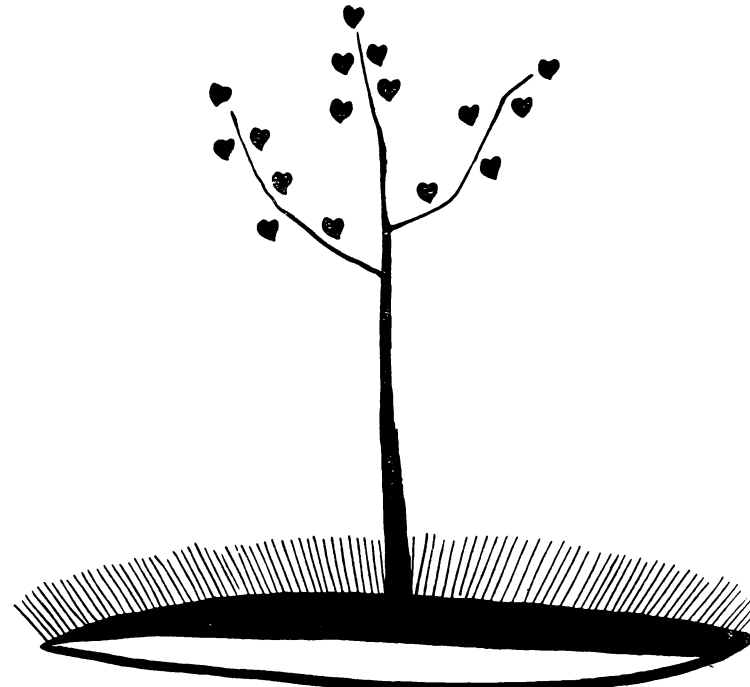

WIELKA MODLITWA O OGON

Panie wielki, gdybym miał ogon,
tobym chadzał jak krowa drogą
i ogonem od much się oganiał.

Chociaż jestem kizior i kirus,
uczyń, aby mi ogon wyrósł,
bym ogonem od much się oganiał.

Przykro ciału, gdy wielki upał,
a na ciele usiądzie mucha
i łaskocze po chudych łopatkach.

Wielki temat snuję przy Lodzi,
a tu mucha chodzi i chodzi,
i łaskocze po chudych łopatkach.

Panie wielki — nie chcę pieniędzy,
chcę mieć ogon z tyłu — nic więcej,
móc ogonem po plecach się klaptać.

Bo te muchy piekielnie cięte,
a ja chciałbym w chwili napiętej
móc ogonem po plecach się klaptać.

Ogon winien mieć miękką kitkę —
(są ogony ładne i brzydkie),
kornie proszę o ogon ładniejszy.

Obojętny mi raczej kolor
(choć są tacy, co czarny wolą),
kornie proszę o ogon ładniejszy.

Ja nie jestem malarz ni plastyk,
ja nie skrzywdzę żadnej niewiasty,
(ją) malując jak krowa ogonem.

Panie wielki, ja tylko muchy
będę zganiał z mojej dziewuchy,
wymachując jak krowa ogonem.

Ja nie jestem od ckliwych bajek,
ja nie jestem gracz ani grajek,
ja bym nie grał na cytrze ogonem.

Od much, Panie — i dniem, i nocą
opędzałbym moją uroczą,
ja bym nie grał na cytrze ogonem.

Widzisz, Panie, ile pożytku
może dać jeden ogon z kitką,
uczyń, Panie, by mi ogon wyrósł.

Ruszę wreszcie konceptem, niczym
martwe cielę ogonem (byczym) —
Uczyń, Panie, by mi ogon wyrósł.

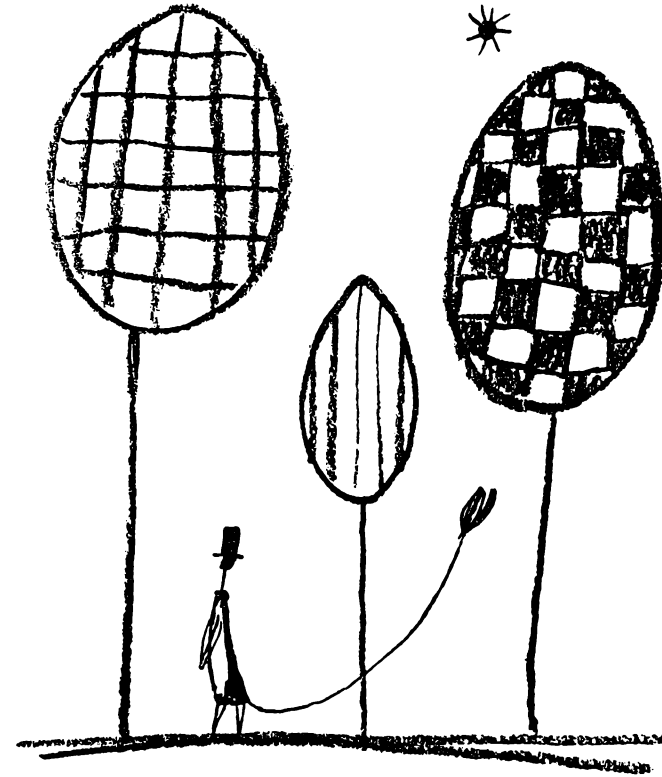

MISTRZA NIKIFORA ŚWIATA OPISANIE

PRZEZ MISTRZA KUBIAKA

Jestem taki malutki — wszyscy inni nad podziw
ogromni, piękni, zacni, prawie marmurowi.
Aż strach wśród tych olbrzymów z pędzelkami chodzić
wśród złocistości świata szaremu jak słowik.

Moi święci pływają po Rożnowskim Jeziorze.
W balii. Gdy idzie burza przez zielone pole,
ci święci rozkładają parasole — Boże —
by w deszczu im nie zgasły święte aureole.

Pracownia moja — patrzcie — przestrzeń międzygwiezdna,
na ścianach są portrety moich antenatów.
Chociaż ja ani matki, ani ojca nie znam,
nie wiem, kto mnie urodził, kto mnie wydał światu.

Cały świat jest wypchany jak worek handlarza
dziwnymi dziwnościami. Gdy się go otwiera,
wychodzą ludzie-zjawy o stu różnych twarzach,
z przodu lew, a smok z tyłu, a w środku chimera.

Cyrk szkarłatny od dołu błękitną kopułą
małe niebo miasteczka rozsadza, aż pęka.
Ale święci dla świata wielką mają czułość
i owieczki jak ptaszki chodzą im po rękach.

Domy jak karpie błyszczą kolorową łuską,
lecz o zachodzie słońca — nie ma nic prócz słońca.
Cały świat się napełnia purpurową pustką,
jak wodą, która nie ma brzegów, dna ni końca.

Ziemia zamiera w sobie nakryta księżycem.
Święci głodni jak wilki łowią ryby w Wiśle.
Potem konną dorożką jadą przez Krynicę,
jak przez pusty po sądzie ostatecznym czyściec.

Gdy biskupi z panami ucztują w kaplicy,
ja pod murem kościoła mieszam akwarele.
Jestem sam. Czasem tylko ktoś przyjdzie z ulicy,
to diabeł, co cylinder kładzie na niedzielę.

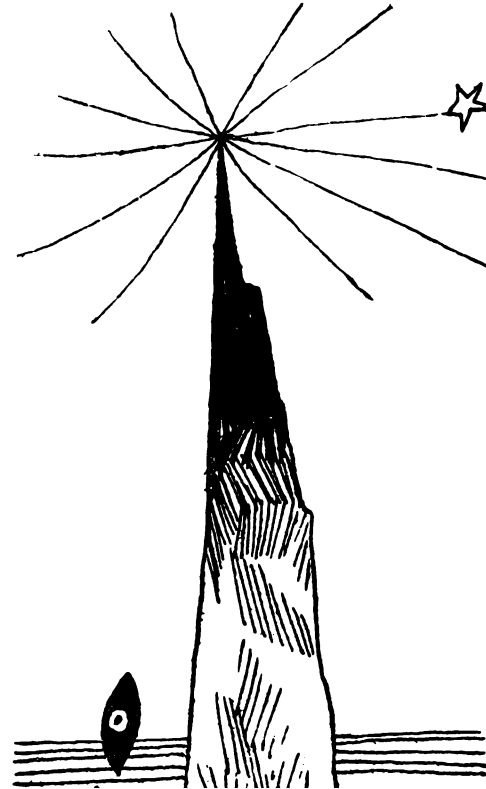

SUR LE PONT D'AVIGNON

W mieście jak lilia białym,
nad wodą, szuwarem i mgłą,
nad średniowieczną rzeką —

„Sur le pont d'Avignon...
sur le pont..."

linoskoczek i kuglarz,
niedoszły bakałarz czy kleryk,
mizernej postaci, lecz sprytny —
zabawiał mieszczan pewnej niedzieli.

„Sur le pont d'Avignon..."

Przegoniły go miejskie straże,
bo ruch tamował na moście,
nad wodą, szuwarem i mgłą,
nad rzeką spokojną jak kościec
średniowiecznego opata,
który zasypiał — bo wieczór
już szedł, już szedł do Avignon.

Wieczór, nieszpory i kościół,
i pusto, samotnie i źle
linoskoczkowi na moście,
nad rzeką, szuwarem, w mgle.

Na ulicy Świętego Rocha —
tam jeszcze można mieć spokój.
„Pod sercem gołębim" — głęboka
szklanica. W kącie — głęboko,
linoskoczek pociągnął łyk.
Jako że, bracie, wyczytasz
w starych gdzieś manuskryptach —
in vino veritas.

Veritas — kościół jak cyprys.
I Matka Boska w sukniach.
Linoskoczek pociągnął łyk.
Zamyślił się. I posmutniał.

Matka Boska miała włosy blond
i smutny uśmiech na twarzy.
Linoskoczek — nie wiadomo skąd —
o Matce Boskiej marzył.

Ulico Świętego Rocha...
ulico Świętego Rocha,
zaprowadź linoskoczka pod próg,
do Tej, którą pokochał.
O której myślał i wtedy
nad wodą, szuwarem i mgłą,
nad średniowieczną rzeką,

„Sur le pont d'Avignon...
sur le pont..."

I tak się stało.

W ciemnym, wysokim kościele,
co arką mógł być kamienną,
linoskoczek tańczył i kule
podrzucał. A była ciemność.
I tylko Matka Boska i on
byli w tych pustych murach.
A Wenus pogańska wschodziła
nad mostem, nad rzeką.
W chmurach.

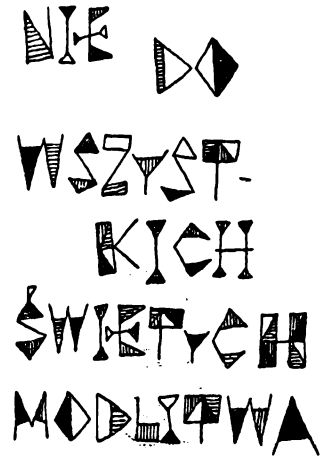

Módl się, święty Anzelmie,
za naszą kruchą ziemię.
Gdy wskóra coś twoja modlitwa,
może świat jeszcze tysiąc lat wytrwa.
Módl się,
święty Anzelmie.

Módl się, święty Florianie,
Za Picassa na ścianie.
Spraw, by ominął ogień
ściany, dach i podłogę.
Spraw to,
święty Florianie.

Módl się, święty Protazy,
za bednarzy, stolarzy.
Za antałki na wino szumne,
za kołyski — rzadziej za trumnę.
Módl się,
święty Protazy.

Módl się, święty Urbanie,
za skórę na Cyganie.
Za garbowaną na Cyganie skórę,
gdy gdzieś tam skradnie ze stu — jedną kurę.
Módl się,
święty Urbanie.

Módl się, święty Antoni,
bym znalazł na jabłoni —
chociaż to grzech śmiertelny,
jabłko wiedzy piekielnej —
Spraw to,
święty Antoni.

FARES

MASKOWY BAL

Maskowy bal. Maskowy bal.
Tej pani bardzo pana żal.
Ten pan po pani roni łzę.
A pan co na się włożył? Mgłę.
Do pasa — wieszcz. Od pasa — człek.
Maskowy bal. Dwudziesty wiek.

Maskowy bal. *Madame, pardon.*
Zatańczyć mogę nawet z mgłą.
I maska masce jednym tchem
szeptem namiętnym: *Je vous aime.*
Ktoś rękawiczkę rzuca, szal.
A wszystko to maskowy bal.

Dwudziesty wiek. Dwudziesty wiek.
Ktoś — Leonidas — wszedł czy wbiegł.
Przechodniu — idź. Przechodniu — mów.
Zresztą najlepiej — mów bez słów.
A wszystko tani laur wśród sal.
Dwudziesty wiek. Maskowy bal.

Maskowy bal. Dwudziesty wiek.
Kato. Surowość. Pion — za trzech.
Anatom. Przenikliwość. Ba.
Promień Roentgena. Aż tu — dwa
serca, sumienia. Licho pal.
Dwudziesty wiek. Maskowy bal.

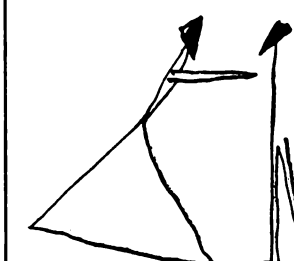

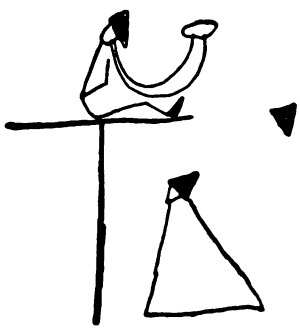

Maskowy bal. Języczek — uch.
Miliony rąk. I słuch za dwóch.
Kombinezonik. Pod nim ciuch.
A w ciuchu — ciuch. W tym ciuchu — duch.
Co nie zna granic — jeno dal.
Dwudziesty wiek. Maskowy bal.

Maskowy bal. Maskowy bal.
Zawsze i wszędzie. Bal — aż żal.
Bez maski przyjść — pokazać twarz —
to podejrzane. Bezczelność. Patrz —
nagle bez głowy ktoś tam wszedł.
Maskowy bal. Dwudziesty wiek.

Nikt się nie zdziwił. Jasne. Fakt.
Każdemu tutaj — rach, ciach, ciach —
i głowy brak, i twarzy brak,
i serca brak. Maseczka, ta-ak.
Uśmieszek — pstryk. Intryżka — ech.
Maskowy bal. Dwudziesty wiek.

Zamykać budę. Koniec. Wio.
Rozejść się. Dość zabawy — bo...

(Tu autor niniejszego grozi palcem.)

FENOME-ASTRALNE

Fenomenalne rozbicie jajka —
ujawniło w jajku istnienie białka.
Sic!
Spowodowało to przewrót nie lada
we wszystkich znanych dotąd wykładach —
na temat jaj.

Obok skorupki, żółtka i stempla
wykryty został ten białko-węglan
w nabiale.

Et voilà, et voici —
to większe wydarzenie
niż zburzenie Bastylii
à Paris.

Rozbicie atomu —
czy dało co komu?

Nie dało nikomu
nic dla domu.

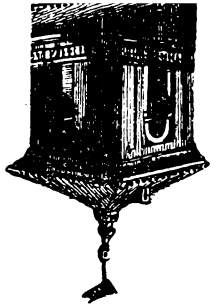

Natomiast *(sic)* fe-no-me-nal-ne
rozbicie jaja
będzie mieć skutki nieobliczalne
w wielu krajach.

Nareszcie ludzkość — z czego jest dumna —
(słusznie, jak się wydaje)
przeszła najśmielszy wyczyn Kolumba
z jego jajem.

Et voilà, et voici —
to większe wydarzenie
niż zburzenie Bastylii

à Paris

Koroną feno-
menalnego czynu
był bój zwycięski ze skorupiną —
kurzego jaja.

Walkę wygrano, jak głosi plotka,
przy pomocy młotka
z drewnianą rączką.

Jajo stojące na czarnym biurku
w pudle z wyciętą specjalnie dziurką —
bito młotkiem trzy razy.

Pierwszy cios chybił i drugi chybił.
I trzasły szyby
w oknie przy biurku.

Trzeci był celny — tym trzecim celnym
osiągnęliśmy cel nieśmiertelny —
ROZBICIE JAJKA.

Et voilà, et voici —
to większe wydarzenie
niż zburzenie Bastylii
à Paris.

W związku z rozbiciem jaja — wśród kur
powstał już kurzy balet i chór.

Trzy tańce tańczy baletowa grupa:
Jajko na twardo,
Jajko na miękko,
Jajko — skorupa.

Chór pięć o jajku śpiewa piosenek,
każda piosenka z takim refrenem —

Hej, jedli jajecznicę
przed i po kościele,
jedli jajka na twardo
na trawie w niedzielę.
Hej, jedli, jedli, jedli,
hej, za jajkiem jajko,
nie wiedzieli, że w jajku
jest białko — hej —
Oj, dziś, dziś — hej —

VOICI — HEJ —

NIE RZUCAJCIE W GIOCONDĘ KAMIENIEM

My jesteśmy dziewczyny z dnia na dzień.
My nie wiemy nawet, że czas mija.
My żyjemy w czasie nieprawdziwym,
jak to mówią — w fan-tas-ma-go-ryjach.

My wstajemy bladym rankiem — smętne.
My chodzimy cały dzień — dalekie.
My wieczorem osładzamy cierpkie,
gorzkie wino florenckim uśmiechem.

My jesteśmy jakby nie z tej gliny.
Nie z tej ziemi — rzucone na ziemię.
My czekamy na swego Francesca.
Nie rzucajcie w Giocondę kamieniem.

Nie rzucajcie kamieniem w Giocondę,
chociaż nieraz podniesie się ręka.
My szepczemy za Lope de Vegą —
Cóż jest miłość? — to pragnienie piękna.

My jesteśmy zapalone w sobie,
lecz nie każdy dojrzy światło okiem.
My patrzymy na dworcowe wieże,
jak na szczyt piramidy wysokiej.

My nie wiemy, my nie chcemy wiedzieć,
że czas mija jak pociągi — dworzec.
My jesteśmy jak wschodzący księżyc,
wszystko jedno w jakiej roku porze.

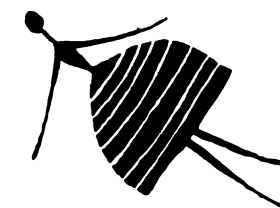

My jesteśmy, my jesteśmy jeszcze,
my jesteśmy jak złocisty obol,
który kładzie się na oczach mężczyzn,
aby ślepi schodzili do grobu.

Nas nabili w butlę i rzucili
na ocean ogromny i szumny.
Obijamy się o siebie z brzękiem,
z listem w wieczność, niby szklane trumny.

My tańczymy nad samą przepaścią.
Ale w głowach nic się nam nie kręci,
bo nie wiemy nawet — gdy tańczymy,
że tańczymy na samej krawędzi.

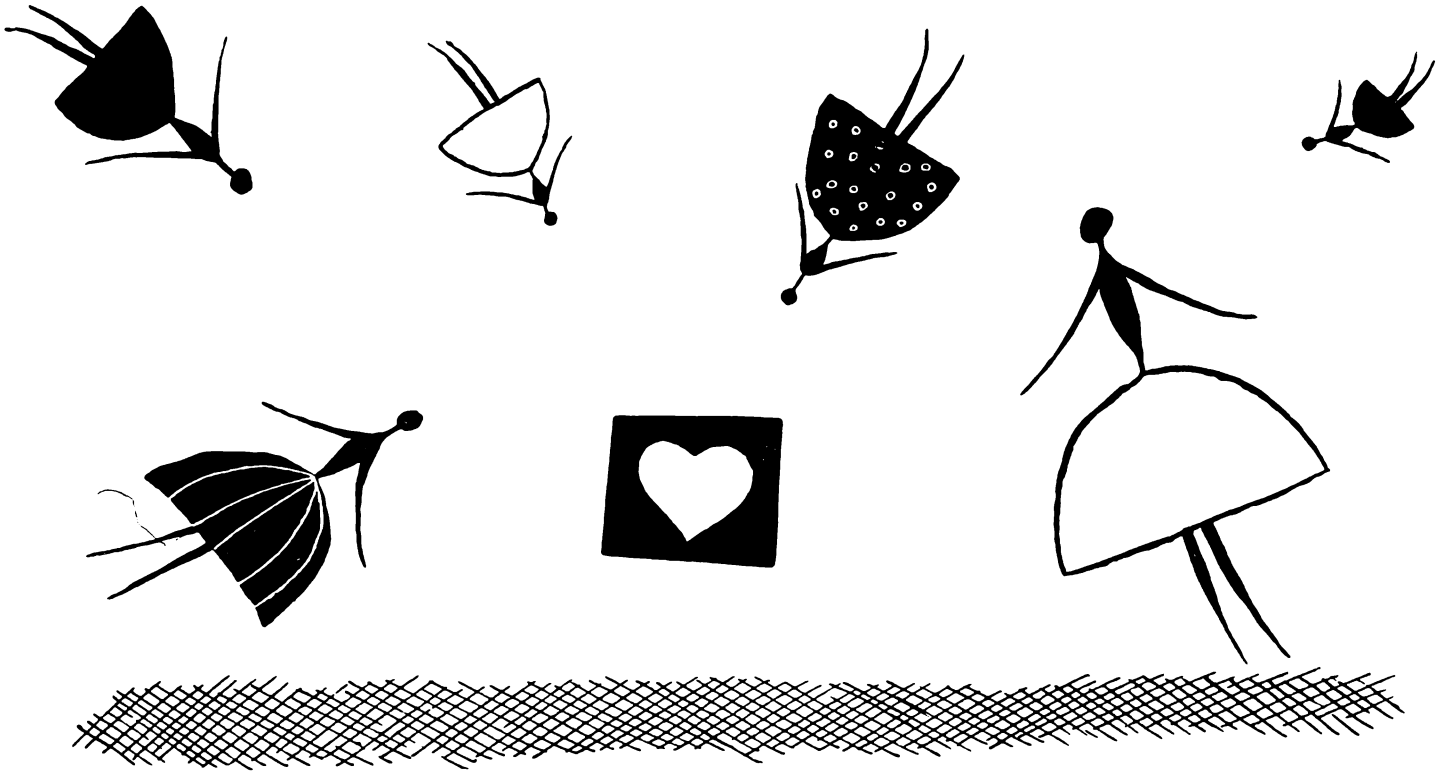

WYKUWAJĄC
MASZKARONY
MISTRZ GADAŁ
DO NICH:

Non omnis moriar — w was zostanę.
Na obraz wasz i podobieństwo,
gęby przeklęte z piekła rodem,
wykuwam was na hańbę wieczną,
plugawe kpy, gamratki młode,
łotry spod stryczka i topora —
cieszycie mnie, bo karmić mogę
me oczy waszą — tfu — szpetotą,
której nie zgryzie deszcz ni ogień.

Non omnis moriar — dajcie młotek.
Co nieprawdziwe, zmarło, zgniło.
Nie masz kochanki mej wśród ludzi.
Agnieszki pięknej z okiem słodkim,
co tak lubiła rajców łudzić.
Oddałem ciało ziemi lekkiej,
a wiekuista światłość zgasła.
Skazuję cię na piekło ziemi,
dziewko przeklęta tego miasta.

Non omnis moriar — młotkiem w dłuto.

Gęby mych szwagrów — żal i smutek
ogarnia, gdy się na was patrzy.
Rozciąłem rade z siebie pyski
ustami krzyku i rozpaczy.
Wcisnąłem w glinę, wkułem w kamień
to, co w was było najprawdziwsze.
Do czerwoności wypaliłem
to, co obłudnie skrywaliście.

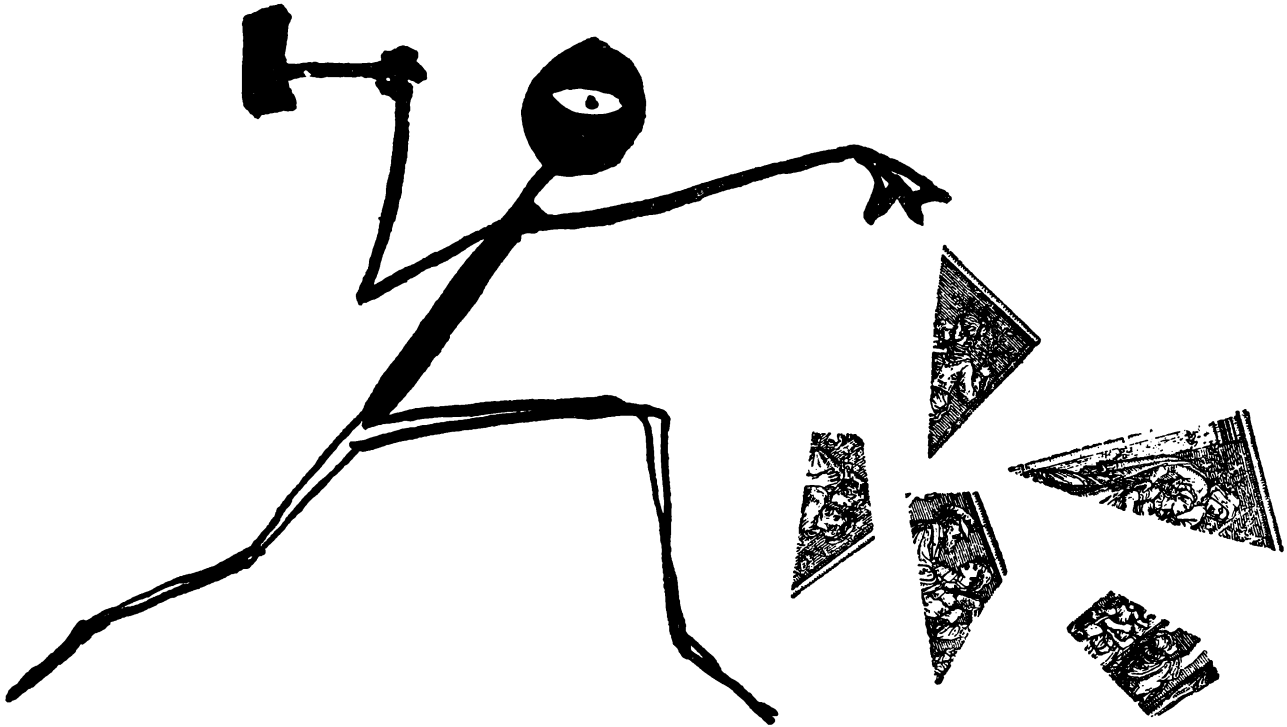

Non omnis moriar -- to zostanie.

Ojcowie cechów i ty, książę,
nie rozpłyniecie się w powietrzu.
Nie dostąpicie białych skrzydeł.
Skazuję was na hańbę wieczną.
Na pośmiewisko — waszym wnukom.
Cieszycie mnie — bo karmić mogę
me oczy waszą — tfu — szpetotą,
której nie zgryzie deszcz ni ogień.

Non omnis moriar — teraz cicho.
Oczy... nos... usta... Lała wino
w gospodzie łotrów i obwiesi.
Raz ją kochałem. Nigdy więcej.
A potem chciałem się powiesić.
Potem szukałem. Nie znalazłem.
O, tę słoneczną dam jej ścianę.
W białym kamieniu ją wykuję.

Non omnis moriar — z nią zostanę.

HELLO, DŻO

Hello, Dżo.
Hello, Dżo.
Jest tam kto?
Nie ma nikogo?
Słońce świeci Panu Bogu.
To lepsze niż księżyc.
Lepiej oczy otwierać niż je zamykać.
Hello, Dżo.
Jest tam kto?
Nie ma?
Ziemia do kwiatów. Ziemia.
Kupmy sobie ziemię pod nogi.
Nie będzie człowiek taki ubogi.
Dziś po raz pierwszy w życiu
widziałem płaczące kwiaty.

Hello, Dżo.
Hello, Dżo.
Jest tam kto?
Repe-rować. Dru-tować.
Druciarzu miły,
zdrutuj mi, proszę,
to biedne serce,
co w piersi noszę.
Hello, Dżo.
Hello, Dżo.
Jest tam kto?
Znowu nie ma?
Ubezpiecz siebie i swoje mienie.
Co masz do ubezpieczenia?
Poza sobą — ziemię?

Mucha na gumce.
Buty na flekach.
Niewiele tego
w życiu człowieka.
Hello, Dżo.
Hello, Dżo.
Jest tam kto?
Do diabła — nie ma?
Stu facetów z miedzianym czołem.
Panie ober, szybko.
To nie sprawa klimatu,
nie pogody, nie kwiatów.
To wysoki stołek.
„Pod Złotą Rybką".

Hello, Dżo.
Hello, Dżo.
Jest tam kto?
Sypią się głowy
w wieńcach laurowych.
Głowy w koronach
i bez.
Hello, Dżo.
Daj spokój, Dżo.
Urządzimy ją.
Pokażemy jej,
że ma ręce i nogi.
Piersi i biodra.
Pokażemy jej,
że ma brzuch
ciepły i okrągły jak słońce.

Hello, Dżo.
Spieszmy się.
Spieszmy się, człowieku.
Znowu ktoś zasnął w Bogu.
A ktoś inny w uśmiechu.
Jest tam kto?
Nie ma nikogo?
Hello, Dżo.

KSIĘŻYC

MISTER DŻO

Mister Dżo igrał z życiem jak z ogniem.
Życie ludziom skradł. Ogień bogom.
Mister Dżo był głupi jak but,
który zdziera się lada drogą.

Mister Dżo
lubił szkło,
dzwonił w szkło.
Wypisywał na swe życie weksle.
Zacierały diabły rączki, pożyczały,
ogonami podzwaniając w piekle.

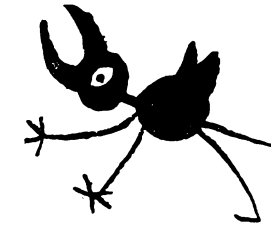

Mister Dżo lubił jeszcze to i owo.
Brał od życia — ale dawał niewiele.
Żył i żył na to diable konto —
z dnia na dzień, z niedzieli na niedzielę.

Wreszcie diabły rzekły —
— Dosyć. Płać.
Z chmur, z obłoków, z mórz powyłaziły.
I co miał mister Dżo —
to diabły
na licytację wystawiły.

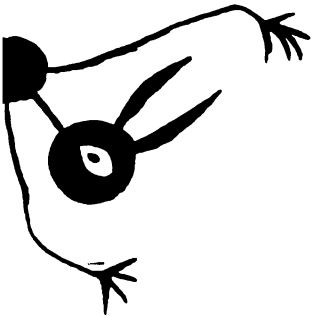

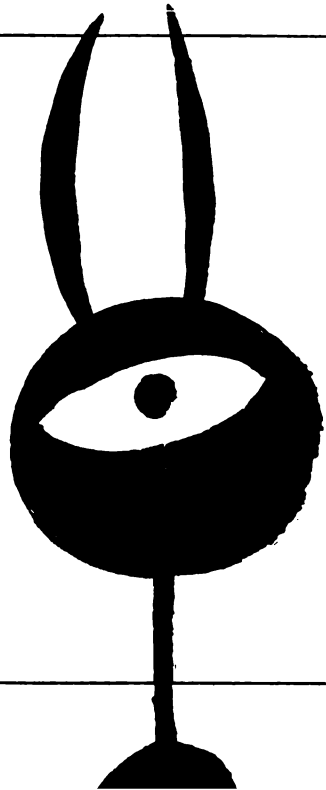

O piętnastej zaczęli się schodzić —
ten, co cenę wystukuje młotkiem,
oraz ci, którzy mieli chęć
nabyć stół, łoże, gablotkę,
półkę — ścianę płaczu stu autorów,
krzesła —
karawanę o nogach wielbłąda,
świecznik, który świecił cały dzień.
Ale nocą gasł. I nie podglądał.

I rozpoczął się smutny rytuał.
Sprzedawano, co było pod ręką.
Wszystko to,
co mister Dżo — lubił.
Kto da więcej — byle z zyskiem i prędko.

Rozebrali mu dom do naga.
Potem skórę zaczęli drzeć z kości.
Odzierali pasmo po pasmie
ze ścian
i z mister Dżo.
Bezlitośni.

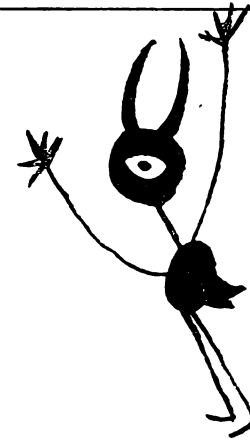

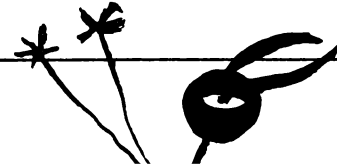

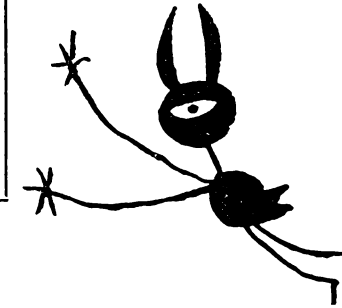

Mister Dżo stał skowany u ścian.
Oślepł, ogłuchł, a nawet oniemiał.
Martwy. Czarny — od stóp do głów —
w kącie
jak...
nieistniejący fortepian.

Nagle weszła pewna dziewczyna.
Chyba grosza nie miała w sakiewce.
Ale głośno i groźnie krzyknęła —
— Panowie — no — stawiam — o — własne serce!

— Młode, zdrowe, wesołe, dzisiejsze!
Do zabawy dla chirurgów — ho, ho!...
Zapłacicie? Za tę forsę — o —
Niech wykupi swoje weksle
mister Dżo!

Obejrzeli.
Kupili.
Zabrali.
Mister Dżo — Prometeusz u skał —
płakał w kącie. Tracił w życiu to,
o czym nawet nie wiedział, że miał.

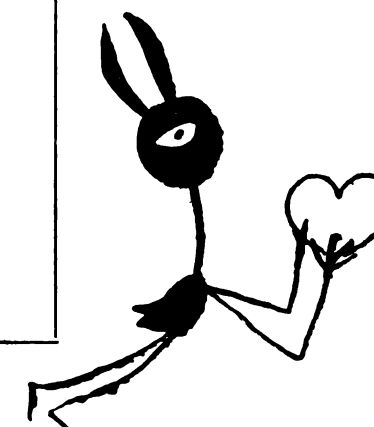

Jest w Warszawie ulica Topiel.
Na ulicy Topiel deszcz od stóp do głów.

Deszcz od głów do stóp.
Ulicą rwie Styks.
Brzęczy Morze Czerwone.
Huczy czarny potop.

Za jakie grzechyś spadł
na moją głowę
— biblijny potopie?

Na ulicy Topiel
były cztery lampy...
Nie ma lamp czterech... ciemno...

Stoją cztery widma
przygięte w sztajerek,
skręcone w oberek...
Nade mną, przede mną...

Ratunku... ratunku...
Bije czarny piorun,
w prawo i lewo.
Ciało pryska korą,
jak samotne drzewo.

Wszystko jest, jak jest.
Tam gdzie rąbią drwa,
sypią się wióry.

Od stóp do głów deszcz.
Wyobraź sobie tutaj —
koronki, turniury...
To ulica nie dla mnie.

Ratunku... Gdzie jesteś?
Gdzie?
Jestem i nie jestem,
Nie widzisz mnie?

Nie...
Dobrze, że cię nie ma
w tym potopie z nieba.

Ratunku... Siwobrody Noe
bije młotkiem w kołek,
bije młotkiem w deski,
zbija z desek arkę.

Stuka młotkiem, stuka,
pomaga mu żona —
smutna i stara.

A daleko świeci kryształowym szczytem,
jak gwiazda nadziei,
góra Ararat.
Ratunku...

Pies do suki szczeka,
kogut do kury pieje,
gołąb do gołębicy grucha,
koń do klaczy rży...

Ratunku... ratunku...

Ja do ciebie wołam —
a ciebie nie ma.
Nigdzie ciebie nie ma.
A byliśmy kiedyś
jak Dafnis i Chloe.
Jesteś nie do pary —
— woła do mnie stary
białobrody Noe.

Ratunku... ratunku...

Nie mogę wejść
do arki sam.

Skoro jestem sam,
no to muszę ginąć.

Woda w usta, w oczy,
jak w biblijnym potopie.

O dwunastej w nocy.
Na ulicy Topiel.
Z łbem rozbitym w knajpie

na ulicy Topiel.
Sam jak pies — gdzie jestem?...
na ulicy Topiel.

ODPUST W RYKACH

Ladies and gentlemen —
serwus — odlatujemy — hen, hen...

Messieurs, mesdames et mesdemoiselles —
luna — oto nasz srebrny cel.

Luna, co była dotąd muzą
łotrów, poetów i obwiesi —
świeci nie tylko już łobuzom.
Dziś jako cel najwyższy świeci.

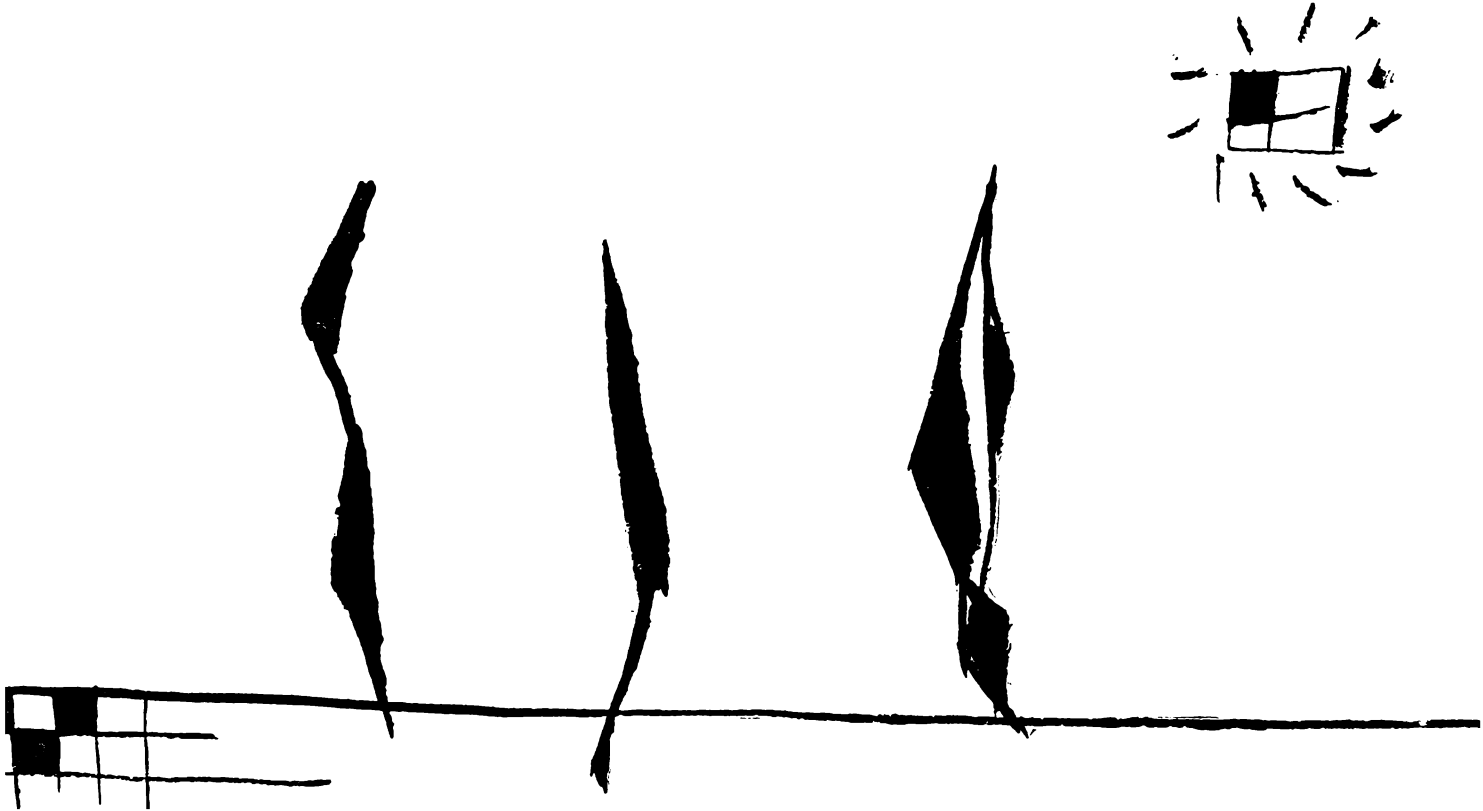

Luna nad Rzymem — a Selene
nad Atenami — spośród Aten
stała się ciałem — jako w niebie,
tak i na ziemi. Amen.

A cztery wiorsty za Rykami
koła po osie w piachu brną.
Hetta, Bułanku, nie leńże się.
Hetta... mać twoja. Wio.

Zasnąć mi przyjdzie na tej drodze.
Pod nogą — piach, a w głowie — zamęt.
Módl się za nami teraz — i
w godzinę wystrzelenia. Amen.

Ladies and gentlemen —
jawą staje się sen.

Messieurs, mesdames et mesdemoiselles —
Łup...

Ej, ludzie, ludzie,
cuda w tej budzie.
Tylko, że buda — całe nieszczęście —
coraz się bardziej w posadach trzęsie.
Równoleżniki związane drutem
skrzypią jak skrzypce smutkiem zatrute.

A ja na odpust jadę do Ryk.
Stuka podkówką mój ko-
nik.

Stuk, stuk i stuk, stuk,
stuk, stuk i stuk, stuk...
Wciąż jeszcze z ziemią
jak z psem u nóg.

O, dobra jesteś — szara i bura,
i taka wierna jak stary pies.
Kręciołku cudny — wokoło słońca —
i beczko śmiechu — mokra od łez.

Puf — wystrzelili znowu na księżyc.
A ja cię, ziemio, lubię jak nikt.
Odpoczywanie na mym tapczanie,
racz mi dać, Panie, gdy wrócę z Ryk.

Wio, Bułanku, wio.

PIĘTA ACHILLESA

Cały jest piętą Achillesa —
od stóp w lakierkach po siwy włos.
Cokolwiek powiem,
jakkolwiek spojrzę —
śmiertelny mu zadaję cios.

Nie omył jego serca Styks,
więc także jego serce
jak Achillesa pięta.
Bezbożny Kupidynie,
kiedy naciągasz łuk,
miej litość i o tym
pamiętaj.

Wszystko to śmieszna donkiszoteria.
Albo też nędzna
ro
bin
so
na
da...
cały ten kompleks
niemytej pięty
pana A.

Bo kiedy pan A
subtelnie zwęszył,
że jest ważniejszy
niż ja —
wyzbył się od razu
swoich piętourazów
i nawet zaczął chodzić na rękach.

Tak się oto o pięcie
boskiego Achilla
skończyła piosenka.

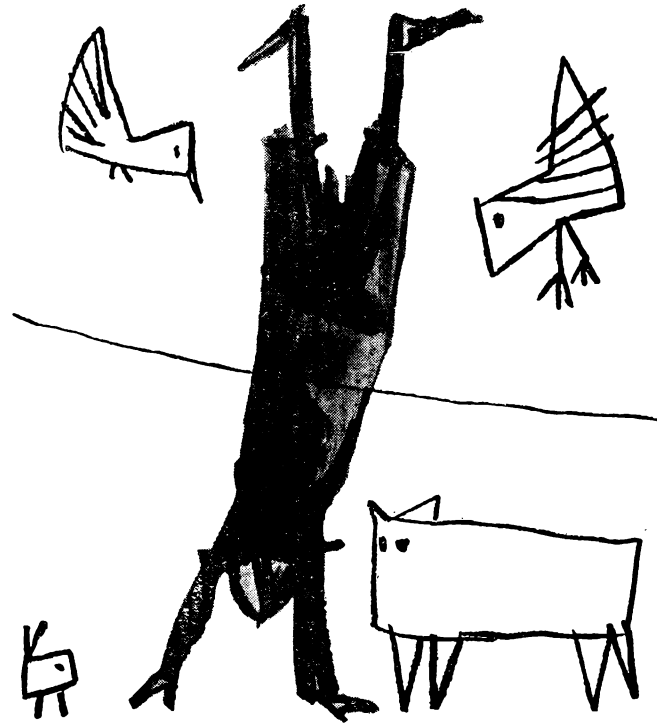

CZTERDZIEŚCI JEDEN

Jest dzień czterdziesty pierwszy.
Ustała chłosta kropel.
Noe rozczarowany
woła: „Co z tym potopem?"

„Do diabła, co z potopem?"

Przeliczył kury, gęsi,
świnie, konie, barany,
ludzi — aby gatunek
ostał się zachowany.

Giewont-Ararat osechł.
Noc idzie na hale.
Arka sterczy jak karczma,
w której krwawią górale.

„Do diabła, co z potopem?"

Na wielkim polu ryczy
ciężka, mleczna i naga,
z tęczą na grzbiecie —
krowa...

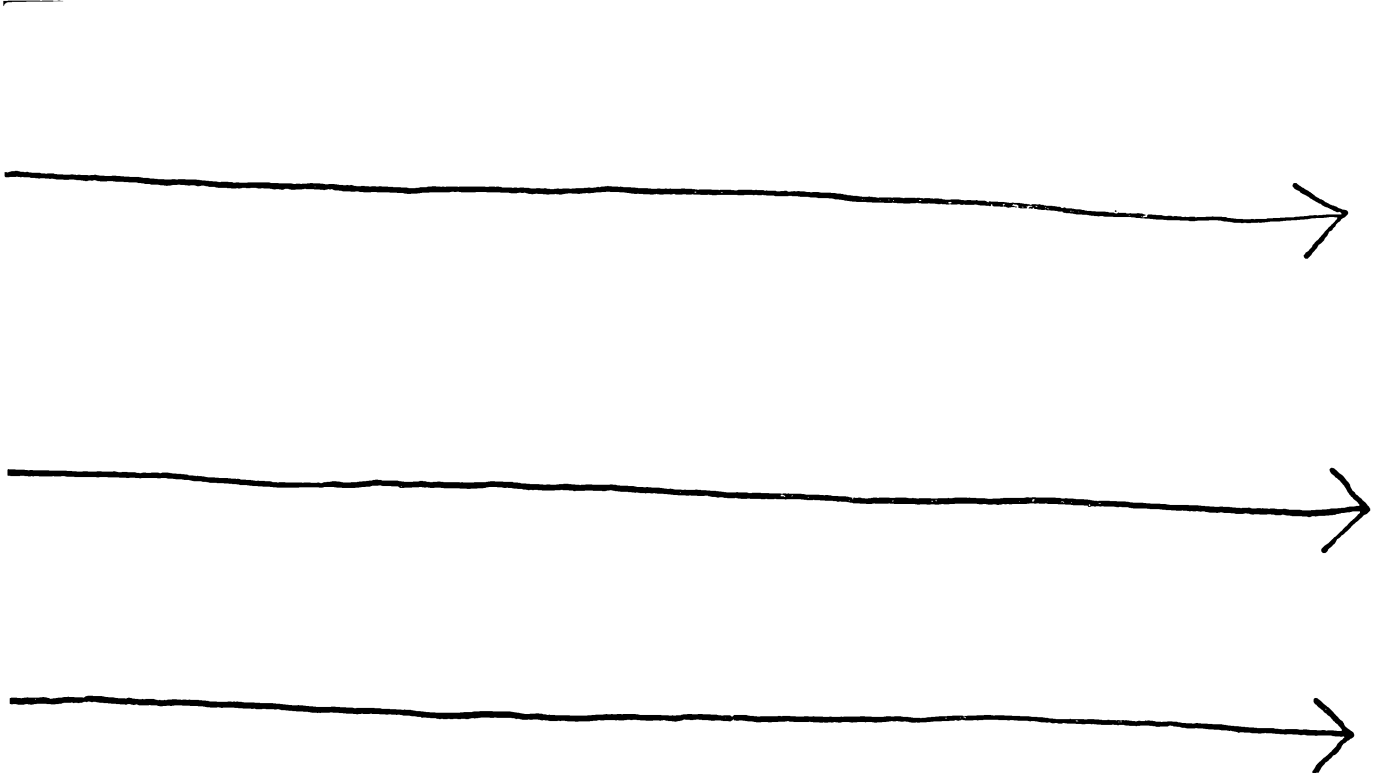

JAKBY MALOWAŁ JĄ CHAGALL

PIOSENKA SZKOCKA NA WŁOSKĄ NUTĘ ⇩

Moja kuzynka
z jaskółczym loczkiem
Włoszka — muzyki
uczy się szkockiej.

Ej, kobzo, kobzo,
ej, kobzo, kobzo,
z baraniej skóry,
kobzo...

Z barana, który
po halach hopsał
w północnej Szkocji,
ta świetna kobza.

Z miechem nad miechy,
z miechem nad miechy,
z piszczałą dętą
na cztery wdechy.

Ej, kobzo, kobzo,
ej, kobzo, kobzo,
z baraniej skóry,
kobzo...

Na cztery słodkie
bemole włoskie,
starczą dwa beki —
bemole szkockie.

Bardzo to pięknie,
bardzo to pięknie,
muzyka dźwięczy
coraz oszczędniej.

Ej, kobzo, kobzo,
ej, kobzo, kobzo,
z baraniej skóry,
kobzo...

Dżon, co jest Włoszki
ciotecznym bratem,
nosi spódniczkę
w czerwoną kratę.

Bardzo wygodnie,
bardzo wygodnie
grywa na kobzie,
nie nosi spodni.

Ej, kobzo, kobzo,
ej, kobzo, kobzo,
z baraniej skóry,
kobzo...

Kobza beczała —
Boże, strzeż króla...
coś, co każdego
Szkota rozczula.

Kuzynka Włoszka,
kuzynka Włoszka
wrzuciła kobzę
chlup — do potoczka.

Chlup, kobzo, kobzo,
chlup, kobzo, kobzo,
z baraniej skóry,
kobzo...

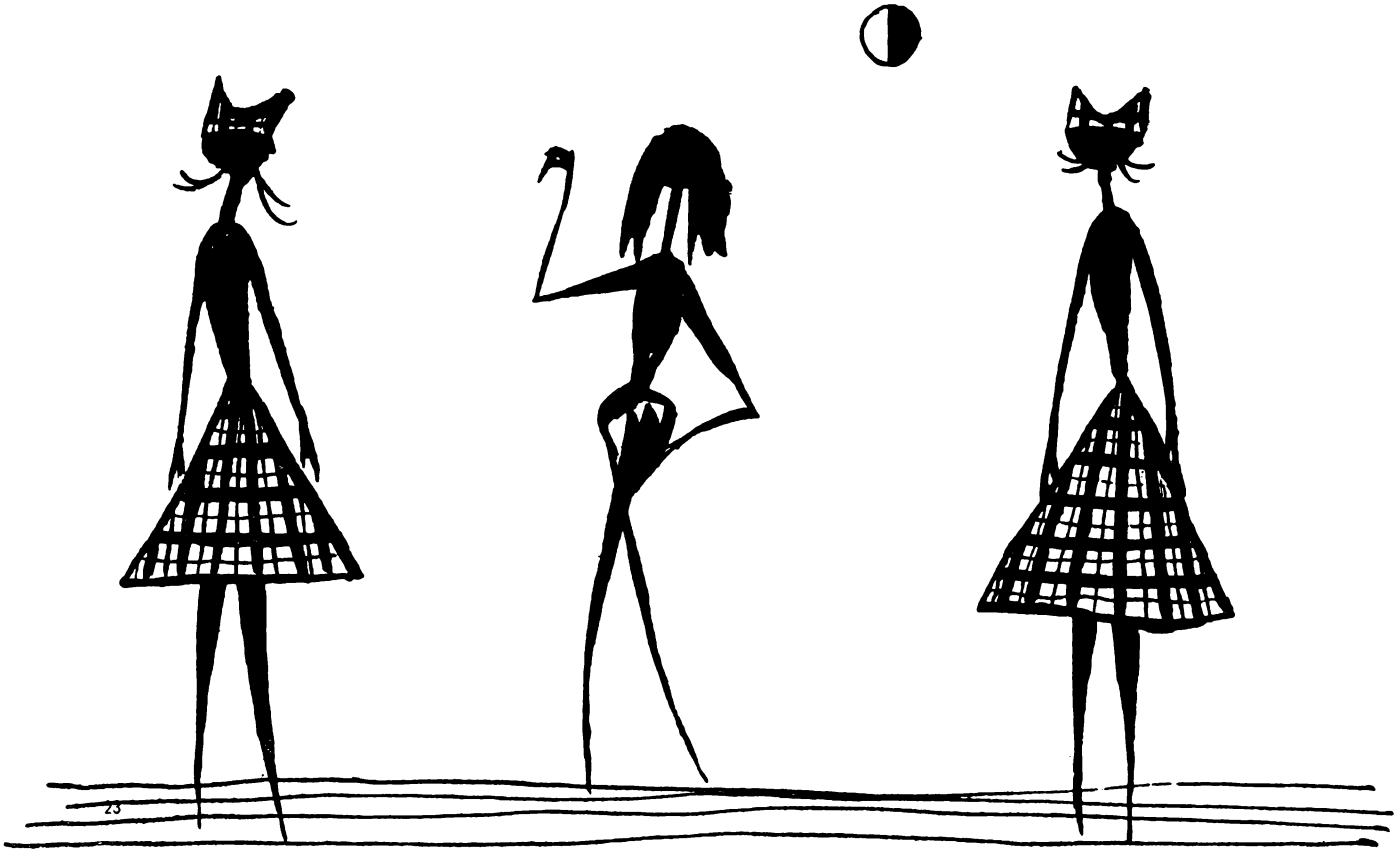

Z potoczka baran
wyszedł i — hopsa —
wuj Szkot zawołał,
będzie zeń kobza.

Zarżnął barana,
zarżnął barana,
patroszył zewłok
nocą — do rana.

Ej, kobzo, kobzo,
ej, kobzo, kobzo,
z baraniej skóry,
kobzo...

Kuzynka Włoszka
przyszła w niedzielę,
tańczyła sambę
i tarantelę.

Lauro okrutna,
Lauro okrutna —
wuj Szkot grał z synem —
Dżonem — i smutniał.

Ej, kobzo, kobzo,
ach, kobzo, kobzo,
z baranim płaczem,
kobzo...

Dzień jak Polifem jednooki
spojrzeniem słońca nas przeszywał.
Z gór po kamieniach Hefajst kulał,
dmuchając żarem po pokrzywach.

Kim jest Hefajstos? Kuternogą,
któremu rogi rosną z chrzęstem.
Bo mając w kuźni kopyt wiele,
w domu był gościem niezbyt częstym.

Zaś Afrodyta... Hefajst sklął ją,
że pies ją — a więc zaszła w ciążę.
Na skale — nic nie wiedząc — siedzi
Aleksy niczym perski książę.

Kim jest Aleksy? Sprzedał skuter.
I kupił paczkę papierosów.
Wypalił je do ostatniego.
Z Kuźnic na Olimp ruszył boso.

Ale miał w życiu dziwną chwilę.
Niby to prawda, sen niby to.
Jak pies zgoniony wśród kosówki,
właśnie tak jakby z Afrodytą.

Z szczeniakiem w łonie Afrodyta
gadała w sobie już psim głosem.
Bała się spojrzeć na Alego
i szła krok w krok za Hefajstosem.

Gdy się urodzi z mordą psa,
na czterech nogach będzie biegał.
Aż nagle Ali ginie z oczu,
ślizgając się po wiecznych śniegach.

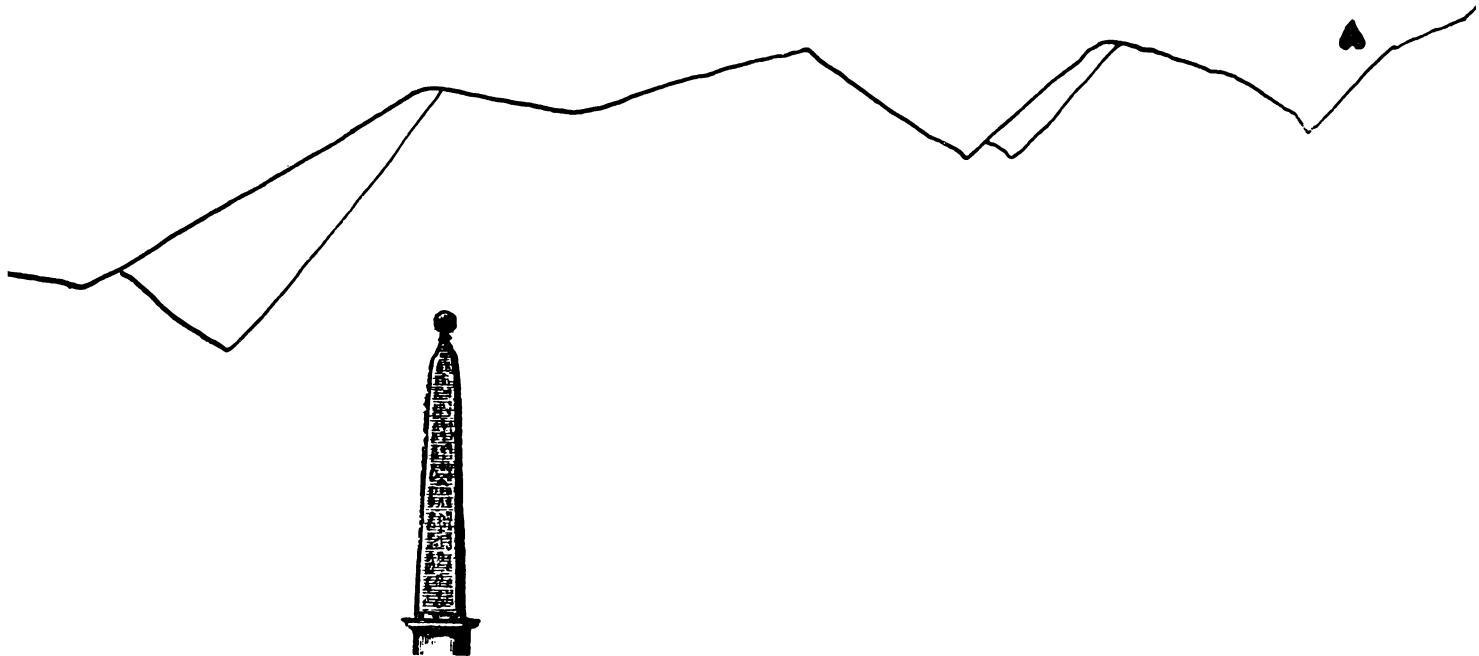

Zresztą to — mili — wszystko brednie,
takie ple-ple-ple poobiednie.

Dzień jak Polifem jednooki
spojrzeniem słońca nas przeszywa.
Z gór po kamieniach człek kuśtyka,
brodząc po trawach i pokrzywach.

Upał od stóp do głów podsmaża,
obraca ciało jak na rożnie.

Śmierć lodowata z dna wciąż czyha na uczyniony

KROK

nieostrożnie

CZARNA GODZINA

Czarna godzina, na którą ludzie
odkładają grosz do grosza —
to godzina piąta po południu
w górach pod samym niebem
października.

Nie odłożyłem nic, nie uciułałem nic
przez całe moje życie.
Czarna godzina nadeszła,
jak bardzo smutna
muzyka.

Smukła jak panny gotyckie,
z twarzą jak z ikony —
śmiała się ze mnie szczerze,
że tak roztrwoniłem
młodość.

Uzbierałem w życiu kilka smutków,
kilkanaście milczeń ze złota,
kilkadziesiąt samotności ze srebra,
trochę marzeń skrytych jak kamień
pod wodą.

Co mam czynić w tę czarną godzinę,
która o piątej po południu nadeszła?
Chwiejąc się od doczesności jeszcze
podniosłem się
z kutego na cztery nogi krzesła.

„Halo, fiakier. Na Jaszczurówkę.
Płacę moim smutkiem."
„Nie wygłupiaj się pan ze swoim smutkiem.
Trza zarobić na ćwiartkę wódki. Wio!..."

Zapadła cisza.
I znów —

„Halo, fiakier — do Kościeliskiej.
Za trzydzieści srebrnych samotności."
„Nie wygłupiaj się pan z samotnością.
Z samotnością idź pan pod kościół. Wio!"

Zapadła cisza.
I znów —

„Halo, fiakier — na Bukowinę.
Za dziesięć szczerozłotych milczeń."
„Nie wygłupiaj się pan ze złotym milczeniem.
Trza zarobić na tabak. I jedzenie. Wio!"

Zapadła cisza.
I znów —

„Halo, fiakier — nad Poroniec.
Za jedno z niewielu marzeń."
„Nie wygłupiaj się pan z marzeniami.
Marzenia na forsę zamień — to pogadamy. Wio!"

Zapadła cisza.
I gdzieś —

Czarna godzina dzwoniła potokiem, co w mroku świecił. Czarna godzina wypełniała mnie z sekundy na sekundę sobą. Stać mnie jedynie na fiakra, który powiezie nas dokoła księżyca okrągłego jak obol.

NA SKRAJU NOCY

Dokąd idziesz?
Do Cyganów.
Kiedy wrócisz?
Może rano.

Będziesz pić tam?
Do księżyca.
I grać będziesz?
Tak, na skrzypcach.

A co potem?
Miła, nie wiem.
Nie powieszę
się na drzewie.

Wrócisz? Wrócę.
Ale inny,
scyganiony
i dziecinny.

Z głową ciężką
niby cerkiew,
utoczona
w noc nad świerkiem.

Może nie chodź...
Nic tu po mnie.
Znów do lasu
wilka ciągnie.

LICHTARZ ZE SREBRA STAREGO

Z drobiazgów, które
czas w domu zebrał,
najbardziej lubię
lichtarz ze srebra,
ze srebra starego.

Gdybym miał z domu
wyjść i nie wrócić,
mogę iść nawet
o jednym bucie —
lecz wezmę ten lichtarz.

Niech kto chce sypia
na mym tapczanie,
niech kto chce grywa
na fortepianie.
Lecz lichtarz jest mój.

Łzy nie uronię
nad biurkiem, w którym
na klucz zamknąłem
słońce i chmury,
w pośmiertnych papierach.

Choć będę może
smutny, daleki,
nie pożałuję
butelki z Rijeki —
z nie dopitym winem.

Gdyby mi rzekli —
Słuchaj, Tadeusz,
twój kąt ostatni
jest Bóg wie gdzie już —
nie rzeknę ni słowa.

Pożegnam półki,
książki na półkach,
niech innym kuka
śmieszna kukułka
w zegarze na ścianie.

Tylko lichtarza
nikomu nie dam,
gdyby mnie żarła
bieda — nie sprzedam —
mojego lichtarza.

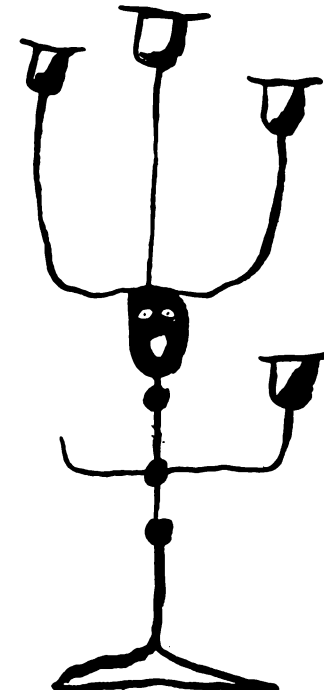

Mogę na ziemi
sypiać — na zimnie,
pod mostem — byle
lichtarz stał przy mnie —
już będę szczęśliwy.

Gdziekolwiek złożę
bezdomną głowę,
zapalę cztery
świece różowe
na moim lichtarzu.

I każdą świecę
zamienię w gwiazdę.
I każda będzie
mieć swoją nazwę.
Jak gwiazdy prawdziwe.

Pierwsza — Cecylia.
Druga — Cecylia.
Trzecia — Cecylia.
Czwarta — Cecylia.
To imię mej matki.

„Odchodzisz?" — „Idę".
„Komedia czysta."
„Powiedz mi, droga,
gdzie jest mój lichtarz —
ze srebra starego?"

„To nie pamiętasz...
Chyba rok temu..."
„Ach, tak — pamiętam...
Nie mów już, nie mów..."
Przepiłem ten lichtarz.

GDYBYM MIAŁ SKRZYDŁA

Gdybym miał skrzydła
najpodlejszego z ptaków —
na przykład — ślepej, której trafia się ziarno — kury,
na piec bym frunął
i spoglądał na ziemię
z tej wieżowo-słoniowej sufitosiężnej góry.

Gdybym miał skrzydła
najlichszego z aniołów —
takiego, co smaruje zawiasy rajskich wrót,
wszedłbym na chór,
owinął się w biel skrzydeł
i śpiewał srebrne hymny ze szczerozłotych nut.

Gdybym miał skrzydła
najbiedniejszego z diabłów —
takiego, co to rąbie drwa na piekielny ogień,
przez komin — wpadłbym,
dziewczę jak lilia — porwał
i ruszył z nią do tańca przytupując w podłogę.

Gdybym miał skrzydła
chagallowskich zegarów,
tych, co to może były, a może ich nie było —
stanąłbym w kącie,
w pokoju mojej matki,
i czarne, złe wskazówki obracał wciąż do tyłu.

Lecz nie mam skrzydeł,
nigdy ich mieć nie będę,
nie umknę z czarnej ziemi, nie będę śpiewał w chórze,
kto inny ruszy
z białą dziewczyną w taniec,
zegar w kącie zadzwoni, gdy trzeba będzie umrzeć.

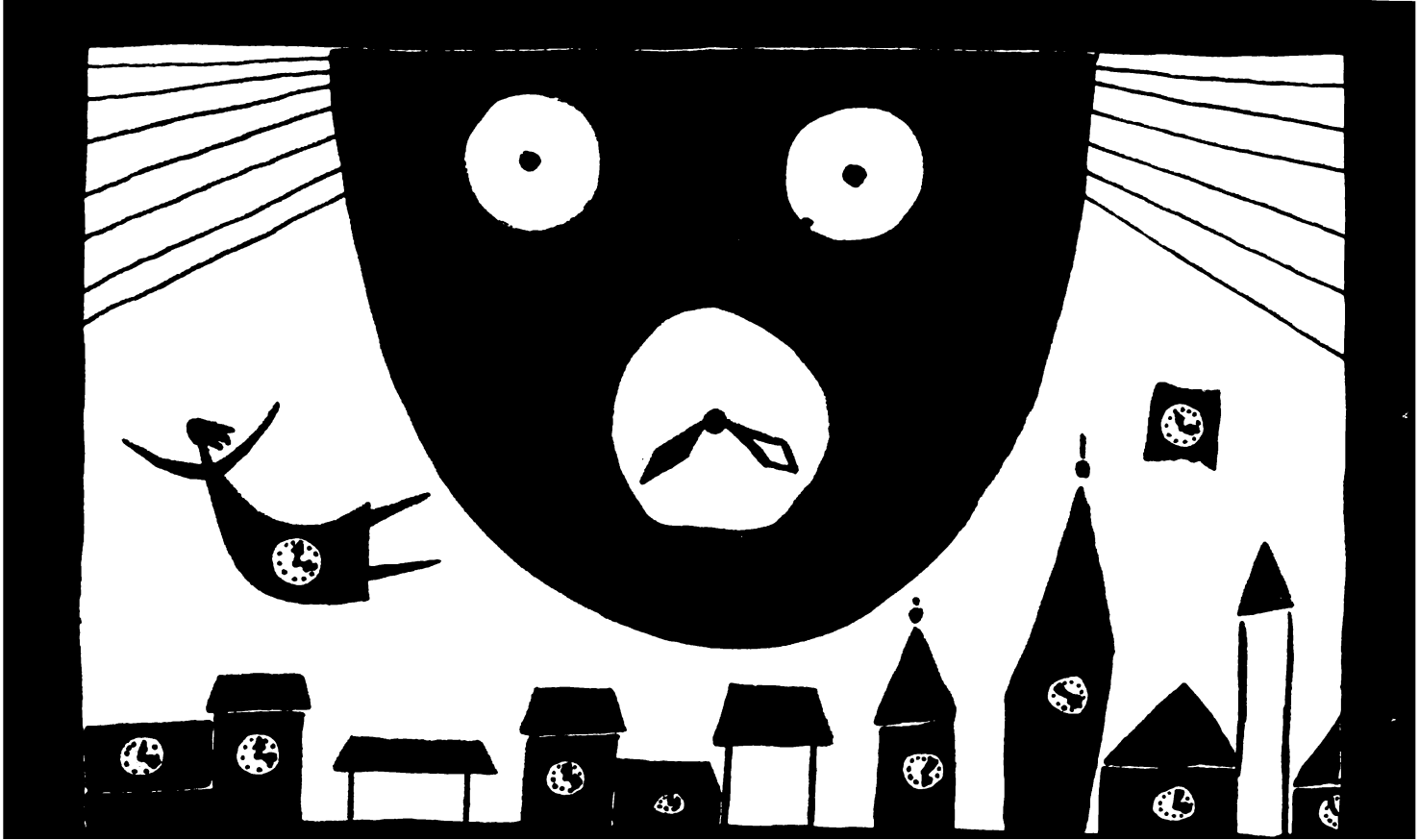

SPIS RZECZY

Osiem wcieleń — poezji jednej . 5
Robinson — 1958 10
Skrzydła miłości 16
Moimi oczami . . . 18
Lubię — psiakrew . . 24
Dwa liryki na szept . . 26
Świat — od dołu . . 28
Piosenka dla Małgorzaty . 32
Życie — czyli tysiące spraw . 36
Rozmowa z mistrzem Sarbiewskim . 42
Pada deszcz 48
Liryk do szeptania 52

Na spacerze 56
W Warszawie na Tamce kupowałem kwiaty . . 58
A lipiec grał 64
Nie sztuka kochać — kogo? 70
Pajac 78
„Pamiętasz, była" — u fryzjera 80
O jesieni tkliwie 86
Sadzenie ziemniaków 88
Palenie w piecu — czyli liryk żałosny . . 92
Piosenka na wiele okazji 96
Wielka modlitwa o ogon . . . 102
Mistrza Nikifora świata opisanie . . 106
Sur le pont d'Avignon 110
Nie do wszystkich świętych modlitwa . 116
Maskowy bal 120
Fenome-astralne 124
Nie rzucajcie w Giocondę kamieniem . 130

Wykuwając maszkarony mistrz gadał do nich . 134
Hello, Dżo 140
Mister Dżo 146
Ulica Topiel 152
Odpust w Rykach 158
Pięta Achillesa 164
Czterdzieści jeden 168
Piosenka szkocka na włoską nutę . . 172
Z „Podróży pod różą" 180
Czarna godzina 186
Na skraju nocy 192
Lichtarz ze srebra starego 194
Gdybym miał skrzydła 200

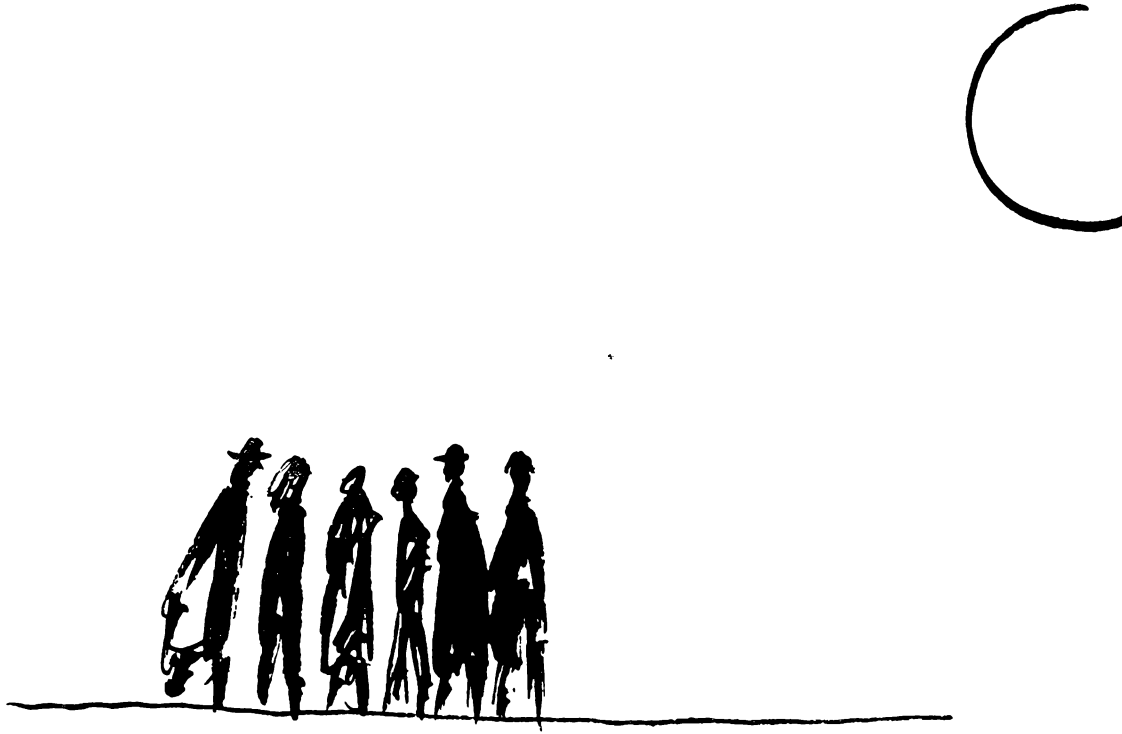

©

„Czytelnik". Warszawa 1961. Wydanie I.
Nakład 3 250 egz. Obj.: ark. wyd. 5; ark. druk. 13.
Papier druk. żeb. kl. III, 100 g, 82×104 z Kluczy.
Oddano do składania 4.XII.60. Podpisano do druku
22.XII.60. Druk ukończono w lutym 1961 roku.
Zakłady Graf. „Dom Słowa Polskiego" w Warszawie.
Zam. nr 5780. C-65. Cena zł 25,—
Printed in Poland